Nr. 48. Lwów, Niedziela dnia 28. Lipca 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

PRAWA AUTORSKIE.

Podaliśmy w przeszłym numerze sprawozdanie z kongresu międzynarodowego literatów, pióra p. Henryka Sieńkiewicza. Chcemy obecnie w tej kwestyi kilka zrobić uwag.

Powszechnie utrzymują, iż każda własność jest dziedziczną, korzysta z niej sam właściciel i jego spadkobiercy. Kongres wyraził życzenie, ażeby „Prawo autora, jego spadkobierców lub uwierzytelnionych było wiecznem". Sprawozdawca dodał jako komentarz, że „z bardzo małymi wyjątkami, prawa te nie są nigdzie zabezpieczone".

Powiadają dalej, że lekarz, prawnik, inżynier etc. z pracy swojej korzystają przez całe życie i przekazują majątek spadkobiercom.

Prawa autorskie do pewnego stopnia są wszędzie ubezpieczone. Nikt nie może zabrać autorowi rękopismu i użyć go na swoją korzyść, ale można rzecz drukowaną w Warszawie bezkarnie przedrukowywać w Galicyi lub Poznańskiem i viceversa. Wypadki takich przedruków u nas są rzadkimi, gdyż opinia publiczna ich nie toleruje. Rzeczy jednak francuskie przedrukowują się w Belgii, angielskie w Ameryce, hiszpańskie w Ameryce południowej, z wielką krzywdą autorów, gdyż nakładca obawiając się tej nieprawnej konkurencyi, zmniejsza honorarya płacone autorom. Kongres więc występując z żądaniem „aby każde dzieło... było traktowane w obcych krajach, wedle praw przysługujących literatom miejscowym" ma zupełną słuszność. Nie ma jej, naszem zdaniem, gdy prawa autorskie rozciąga dalej, a przynajmniej względną tylko. Lekarz, prawnik, inżynier, literat, pobierają wynagrodzenie za swoje prace dokonane, stosownie do zdolności swoich i użyteczności pracy. Ale własnością lekarza, prawnika, inżyniera i literata jest właśnie to honoraryum, które za swoje dzieło uzyskał, praca zaś sprzedana przestaje być jego własnością, a staje się własnością nabywcy. I lekarz nie żąda od swego pacyenta, aby mu płacił tak długo, jak długo żyć będzie, ani prawnik po otrzymaniu honoraryum nie ma już dalszych pretensyi, jeżeli literat żąda, aby tę samą robotę mógł drugi i trzeci raz sprzedawać, to żądanie jego o tyle tylko może być uważane słusznem, o ile społeczeństwo zechce mu to przyznać. Społeczeństwo, jak z dotychczasowych prawodawstw widzimy, przyznaje mu to i czyni więcej jeszcze, bo nietylko dozwala jemu samemu po razy kilka, przez całe życie sprzedawać to samo dzieło, ale pozwala nawet przez pewien przeciąg czasu spadkobiercom korzystać z praw autorskich. Jest to już nadmiar praw przyznanych autorowi. Kongres idzie jeszcze dalej i żąda, aby prawa autorskie stały się wieczystemi.

Czy to żądanie kongresu, gdyby było zamienione w prawo, wypadłoby na korzyść autorów? wcale nie. Piszących jest więcej jak nakładców i ci ostatni mają prawo wyboru. Wyjątkowo głośni pisarze korzystaliby z tego nowego prawa, gdyż nakładcom sam interes wskazuje przyjmowanie wszelkich warunków przez znakomitości postawionych, ale to bardzo nieliczne są wyjątki, cała rzesza literatów znajduje się w tem położeniu, że sama musi szukać nakładcy i przyjmować jego warunki, nakładca zaś przy nowem prawie nie zaniedba zastrzedz na swoją korzyść wieczystego używania prawa autorskiego, choćby miał za to jaką bagatelę dopłacić, a ileż to razy autor znajduje się w tem położeniu, że za miskę soczewicy przeda swoje prawa pierworodztwa!

Literaci, żądając wieczystego używania praw autorskich, jak z jednej strony nie mają słuszności, tak z drugiej nawet uzyskawszy takowe, nie mieliby korzyści. Jednym z silnych dowodów, że nie literaci korzystaliby z tego prawa jest to, że projekt podobny wniesiony został do ciała prawodawczego francuskiego przed kilkunastu laty przez największe firmy nakładowe paryskie i że te firmy najsilniej go popierały i przeprowadziły w komisyi ad hoc wysadzonej.

Ale jeżeli literaci nic nie zyskają na tem, a tylko nakładcy, to któż traci i na czyją niekorzyść wypadłoby podobne prawo?

Traci społeczeństwo. Wskazaliśmy wyżej, że wieczyste prawa autorskie przeszłyby wkrótce w ręce nakładców, kto zaś cokolwiek obeznany jest z handlem księgarskim, i wie jaką olbrzymią przewagę w tym handlu mają wielkie firmy i jak wszyscy księgarze są zależni od tych królików księgarskich, ten przyjdzie łatwo do wniosku, że wieczyste prawa autorów przejdą w krótkim czasie w ręce kilku wielkich firm nakładowych, które stanowczy monopol uzyskają. Wszelka konkurencya zniknie, a bez konkurencyi społeczeństwo będzie musiało płacić za książki tyle, ile się spodoba brać panom nakładcom, i to za takie książki, jakie panowie nakładcy zechcą wydawać. Tanich wydawnictw oczywiście nie będzie, i ten to wzgląd spowodował prawodawców francuskich, że pomimo najsilniejszego parcia ze strony nakładców i literatów odrzucili wieczyste prawa i ograniczyli takowe na rzecz spadkobierców 50 latami od śmierci autora.

Nie będziemy tu zastanawiać się nad dalszymi skutkami takiego monopolu, który jak powiada Proudhon, doprowadziłby społeczeństwo do kretynizmu, bo wnioski same się czytelnikowi nastręczą.

Zauważymy tylko, że przyjęta liczba lat na korzyść spadkobierców, we Francyi 50 lat, w Niemczech 30 lat, jest za wielką, i byłaby rzeczą zupełnie wystarczającą pozostawić spadkobiercom, jeżeli już pozostawiać, prawo jednorazowego wydania, w ciągu najwięcej lat dziesięciu po śmierci autora, z czego jeżeliby w tym czasie nie skorzystali, utraciliby je na korzyść społeczeństwa, dając wolność każdemu robienia wydań coraz tańszych, jak konkurencya do tego zniewala.

Spasowicz w znakomitym swoim odczycie petersburskim o prawach autorskich, wskazał jaką szkodę ponosi Rosya z tytułu prawnego gwarantującego w ciągu lat 25 prawo autorskie spadkobiercom. Najznakomitszego poety rosyjskiego Puszkina nie można wydać w taniej edycyi, gdyż spadkobiercom nie o dobro społeczeństwa, nie o sławę autora, ale przedewszystkiem idzie o zysk materyalny.

My byśmy to samo mogli powiedzieć o dziełach Mickiewicza, na tanie wydanie których,

a więc na rozpowszechnienie w narodzie, musimy jeszcze czekać 28 lat, stosownie do praw francuskich, jeżeli wieczyste prawo, jak chce kongres, nie zatamuje nam wydawnictw tanich na zawsze.

Pomijając już takich gieniuszów jak Mickiewicz, który i po 50 latach będzie zawsze popularnym, inni autorowie mniejszego polotu są najodpowiedniejsi w epoce, w której piszą, po latach 50 albo są zapomniani, albo mało interesują, albo mało już zrozumiani. Ztąd praca ich, talent, przez zatrzymanie w kwarantannie przez 50 letni przeciąg czasu stają się straconemi dla społeczeństwa. A przecież to społeczeństwo ich wydało, łożyło na ich wykształcenie i zrobiło ich tem, czem są.

Teraz kilka słów co do tłómaczeń.

Ile razy nam zdarzyło się udawać do zagranicznych autorów prosząc o dozwolenie tłumaczeń, tyle razy autorowie odsyłali nas do nakładców, którym ustąpili prawa nie tylko co do druku, ale i przekładów. Dzisiejsze prawodawstwa zastrzegają prawa autorskie co do tłumaczeń najwyżej na lat dwa. Zastrzeżenie to jest zupełnie zbyteczne, albowiem tłumaczenia nie robią konkurencyi oryginalnym wydaniom. Pan Sienkiewicz w swojej uwadze zdaje się mieć na myśli, że w miarę utrudnienia tłumaczeń, autorowie za dzieła oryginalne większe honoraryum będą pobierali, co nie jest słusznem, gdyż drukując w piśmie powieść tłumaczoną, wydawcy nie czynią tego z powodu taniości tłumaczeń, bo rzeczy oryginalne można mieć jeszcze taniej, ale raczej w chęci obeznania czytelników z najznakomitszymi utworami zagranicznej literatury. Usunięcie z pism tej rubryki prowadziłoby do odgraniczania się chińskim murem od świata, bo nie można wymagać od publiczności, aby się uczyła języków obcych dla czytania powieści, kiedy czasu tego może użyć nierównie pożyteczniej. Jesteśmy najprzeciwniejsi hurtownym tłumaczeniom różnych powieści i karmieniu tym wątpliwej wartości towarem publiczności, jak to czynią Biblioteki i Tygodniki powieści i romansów, ale nie widzimy racyi odgraniczania się od zagranicy i nie korzystania wcale z płodów znakomitych literatur obcych.

Stanowczo więc oświadczamy się przeciwko za daleko idącym wnioskom kongresu jako niepraktycznym, zbyt jednostronnym i szkodliwym dla społeczeństwa.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Domyśleć się nie trudno, zkąd rozeszła się po mieście pogłoska o Janie i żydówce. Panna Aniela z mamą gorliwie pracowały nad tem, aby wiadomość ta doszła do uszu wszystkich w najkrótszym czasie. Podawały ją rozumie się z oburzeniem, nazywały świętokradztwem, żeby w murach pobożnego klasztoru mogły się dziać podobne rzeczy, i burmistrz byłby z pewnością jedynie ze względu na moralność postarał się o wydalenie żydówki z miasta, gdyby panna Zenobia nie była jej wzięła w swoją szczególniejszą opiekę. Szło jej bowiem o nawrócenie żydówki. W tej missyi udała się jednego dnia do Leszczycowej, aby się jej zapytać, jak daleko postąpiła w przygotowaniu żydówki do przyjęcia wiary katolickiej. Ale ta ku wielkiemu zdziwieniu a nawet zgorszeniu świątobliwej Zenobii oświadczyła, że całkiem nie zajmowała się nawracaniem żydówki dla tej prostej przyczyny, że ani ona sama, ani nikt w jej imieniu nie żądał od niej tego.

— A przecież to wiadome w całem mieście — odezwała się z ferworem panna Zenobia — że ona jedynie dla tego przybyła do naszego miasta.

— Tak mówią — odrzekła spokojnie pani Leszczycowa — ale od niej samej nie słyszałam nigdy tego.

— A choćby i tak było, to przecież pani jako katoliczka powinnaś była dbać o pozyskanie tej duszy kościołowi. Mówią, że ona tu w pani domu ciągle przesiaduje, że podobno, nie wiem czy prawda, ale tak mówią, że syn pani bałamuci ją.

Leszczycowa spojrzała surowym, poważnym wzrokiem. Wzrok ten zmięszał Zenobię.

— Nie masz się pani o co obrażać, to się przecież trafia między młodymi. Pani nie odpowiadasz za syna.

— Mój syn za uczciwy na to. Mógł się zakochać, ale nigdy bałamucić. Mogę to śmiało powiedzieć, bo jeżeli się kiedy widywali, to tylko przy mnie, i ja odpowiadam całkiem za syna mego w tym względzie, a i za nią odpowiadam z czystem sumieniem, bo postępowanie tej panienki jest takie, że najgorszy wróg nie mógłby jej odmówić szacunku.

— A, to się tem więcej dziwię, że pani nie postarałaś się dotąd pozyskać tej duszy kościołowi. Więc ona nic dotąd nie umie z tych rzeczy, które katolik pod utratą zbawienia wiedzieć i w które wierzyć powinien? Nie mówiłaś jej pani nic dotąd o grzechach śmiertelnych, o grzechach cudzych, o grzechach przeciw duchowi świętemu? Ależ to pojąć nie mogę podobnej obojętności ze strony pani.

Staruszka uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Dziwisz się pani, że jej nic nie mówiłam o grzechach? Po co jej miałam mówić o tem, czego nie wie, nie rozumie.

— Od czegoż katechizm, który to wszystko wykłada, objaśnia, tłomaczy.

— Wolałam mówić jej o cnotach niż o grzechach.

— A więc pani nie trzymała się tylko przepisanego porządku, ale zawsze nauka katechizmu była? Więc wieleż już cnót chrześciańskich pani z nią przeszła?

— Przyznam się pani, że nie liczyłam. Ile razy nadarzyła mi się sposobność dać jej przykład jakiej wzniosłej cnoty, szlachetnego uczynku, nie pomijałam sposobności. Chciałam w tym względzie zastąpić jej matkę, której nie ma.

— Ależ proszę pani takie gadanie, to jeszcze nie jest nauką, to należało się wziąć systematycznie do tego, punkt po punkcie. Ona to powinna umieć jak pacierz, bo jak się jej ksiądz zapyta, a ona nie odpowie mu słowo w słowo, to nie da chrztu, jak Boga kocham, nie da. Pokazuje się, że z nią trzeba będzie na nowo, całkiem od początku rozpocząć naukę. Za cztery tygodnie u nas missya, potrzeba, żeby do tego czasu była zupełnie przygotowaną. Chciałabym bowiem urządzić chrzest z całą pompą, bo to pierwszy podobny wypadek w naszem mieście. Sam biskup obiecał mi przybyć, a ja i panna matka będziemy chrzestnemi matkami. Taki honor nie każdą spotyka. Jestem pewna, że dziewczyna nabierze ochoty, skoro się o tem dowie. Czy ona tu nie będzie teraz u pani? Chciałabym się z nią koniecznie widzieć.

— To najlepiej będzie, jeżeli pani sama przejdzie do niej. Mieszka nie daleko ztąd, przy uliczce ogrodowej.

— Tam może zaduch, fetor, jak zwykle w żydowskich domach.

Leszczycowa uśmiechnęła się z politowaniem. Panna Zenobia spostrzegła się, że tem zapytaniem skompromitowała swój zapał religijny i prędko dodała:

— Mniejsza o to. Tam, gdzie idzie o zwycięstwo kościoła, każdą ofiarę zrobić trzeba. Zresztą wezmę flaszeczkę perfum. No, polecam panią panu Bogu i jego najświętszej matce. A więc pani pozwalasz, abym całkiem zajęła się neofitką?

— Skoro ona się na to zgodzi.

— Postaramy się o to, aby światło wiary rozjaśniło jak najprędzej tę duszę młodą. Chodźmy Azorku — rzekła głaszcząc nieodstępną psinę, która przez ten czas usadowiła się jej na sukni i spała w najlepsze. — Niech będzie pochwalone przenajświętsze imię, vivat Jezus!

Ukłoniła się Leszczycowej, przymknąwszy nabożnie oczy powiekami i rozdymając nozdrza do nabrania powietrza na westchnienie religijne, i wyszła.

Nie poszła jednak prosto do mieszkania żydówki. Wstąpiła naprzód do domu nakarmić Azorka czekoladą z biszkopcikami, bo biedaczek od obiadu był na czczo; potem zabrawszy ze sobą flaszeczkę perfum, wstąpiła po drodze do kilku znajomych opowiadając się im, gdzie idzie i w jakim celu. Wybierała się jak misyonarz do dzikich krajów. Przy tej sposobności nie omieszkała przypiąć łatki Leszczycowej, oburzając się na jej obojętność w rzeczach religii. Kiedy już była przed mieszkaniem żydówki, nakropiła obficie chustkę perfumami, nawet Azorkowi natarła niemi kudełki koło pyszczka i noska, westchnęła do Ducha ś-go i zadzwoniła.

Amelia zerwała się na głos dzwonka, a twarz jej smutna i znękana ożywiła się nagle. Od dwóch dni siedziała sama w domu. Ojciec wyjechał, bo jakiś ważny interes odwołał go niespodzianie od córki. Została więc sama z rozpacznemi myślami, na które nie było rady ani pociechy. Było jej w duszy jak po pogrzebie. Do Leszczycowej ciągnęła ją tęsknota, zdawało jej się, że będzie jej lepiej, kiedy się przytuli do staruszki, którą czciła i kochała jak matkę; ale bała się spotkania z Janem. Nie była pewną, czy w obec niego umiałaby tak panować nad sobą, aby się nie zdradzić z uczuciem swojem dla niego. Chodziło jej o to, aby nikt a szczególniej on nie dowiedział się nigdy o tem. Dziewicza duma nie pozwalała jej przyznać się do miłości, za którą nie mógłby jej niczem odpłacić, chyba litością. Dla tego unikała Jana, i choć ją to wiele kosztowało, nie pokazywała się w domu jego rodziców. Miała nadzieję, że może Leszczycowa

zajrzy do niej dowiedzieć się, co z nią słychać. To też na głos dzwonka zerwała się żywo z siedzenia, a gdy Sura weszła i powiedziała jej, że jakaś nie młoda pani chce się z nią widzieć, nie wątpiła już, że to matka Jana i z radością wybiegła naprzeciw niej.

Ale zobaczywszy we drzwiach jakąś obcą osobę, cofnęła się zmięszana i wypatrzyła na przybyłą zdziwione oczy. Trwało to dosyć długo, bo panna Zenobia nie miała czasu dać objaśnienia, kto jest i po co przychodzi, będąc zajętą uspokajaniem Azorka, który na starą żydówkę szczekał piskliwie i warczał. Dopiero kiedy Sura ustąpiła z pokoju a Azorka wpakowała panna Zenobia pod mantylkę, można było przyjść do słowa.

— Nie wiem czy trafiłam — odezwała się panna Zenobia rzucając ze zdziwieniem przenikliwe spojrzenia po bogatych dywanach.

— Kogoż pani szukasz?

— Czy to panna jest żydóweczką, która ma zamiar przechrzcić się?

— Jestem żydówką — odrzekła Amelia z godnością — ale z zamiarów moich w tym względzie nie zwierzałam się nikomu.

— Jakto? A przecież tylko na tej podstawie pozwolono pannie tu mieszkać?

— Nie pytałam się nikogo o pozwolenie, i nikt mi nie mówił o takich warunkach. Mój ojciec płaci komorne, to powinno wystarczać.

Wyniosły ton, jakim powiedziała te słowa, zreflektował nieco apostołkę, widziała, że źle zabrała się do propagandy i zmieniła taktykę: stała się uprzejmą i słodką. Zaczęła się tłómaczyć, że nie miała chęci obrażać ją swojem pytaniem, że przybyła tu w zamiarze zajęcia się nią jak matka, że przybywa z porady Leszczycowej.

To ostatnie wyjaśnienie usposobiło Amelię nieco lepiej dla przybyłej, wspomnienie Leszczycowej było najlepszą rekomendacyą. Przyszło jej zaraz na myśl, że to zapewne jest życzeniem matki Jana, aby zdecydowała się przejść na religię katolicką. Dziwiło ją tylko, dlaczego sama nigdy jej o tem nie wspominała, dlaczego użyła pośrednictwa trzeciej osoby i dlaczego właśnie teraz; czy to stało się z wiedzą Jana? czy on miał w tem także jaki udział? Te myśli wywołały chaos domysłów w głowie Amelii, z którego nic pewnego wywnioskować nie mogła. W każdym razie życzenie Leszczycowej było dla niej świętem, a osoba, przysłana przez nią, zasługiwała na pewne względy; dlatego poprosiła siedzieć pannę Zenobię i sama usiadłszy przy niej, słuchała jej cierpliwie.

Propagatorka wiary rozwinęła cały zasób wymowy, wszystkich wiadomości, jakie zaczerpnęła z katechizmu, z kazań, z książek nabożnych, użyła dla przekonania żydówki o potrzebie chrztu, przedstawiała jej moralne i materyalne korzyści, jakie osiągnie przez przyjęcie tego ważnego sakramentu, mówiła o łasce boskiej, o darach ducha świętego, zbawieniu wiecznem i nagrodzie sprawiedliwych.

Amelia słuchała jej z głęboką uwagą, w poważnem zamyśleniu. Pierwszy raz dopiero takie wielkie zagadki życia jak śmierć, Bóg, życie wieczne, odbiły się jej o uszy. Dotąd nie myślała nigdy o tem, wychowała się bowiem prawie bez żadnych pojęć religijnych; wiedziała, że tam gdzieś w górze jest Jehowa, stwórca świata, ale myśl jej nie śmiała nigdy wznieść się do badania prawd objawionych przez tę najwyższą istność, wierzyła ślepo w to, co jej mówiły przykazania, nie robiła nikomu źle, a przywiązanie do ojca było jej religią. Wiedziała, że chrześcianie mają innego Boga, a raczej wielu Bogów, bo wizerunki ich spotykała nieraz po gościńcach, na murach kościelnych; ale nie przyszło jej nigdy na myśl zastanawiać się nad różnicą w tym względzie. Wydawało się jej to dosyć obojętnem, do kogo się ludzie modlą i dzieliła ich nie według różnicy wiary, ale według tego, czy byli źli, czy dobrzy. W jej pojęciach między matką Jana a swoim ojcem nie widziała żadnej różnicy. Oboje wydawali się jej jednako dobrzy, jednakowo przywiązani do swych dzieci. Sądziła z tego, co widziała, rozumowania jej religijne nie wybiegały za sferę ziemskich stosunków. Celem jej życia było życie, a uczciwość dogmatem. I była z tem zupełnie szczęśliwą. Nie sięgała myślą za granicę życia, bo życie dawało jej wszystko, czego jej było potrzeba do szczęścia, ojciec zaspokajał wszystkie jej życzenia a choć chwilowo trapiła ją tęsknota i nuda, gdy musiała żyć samotnie, poprzestając na towarzystwie starej Sury, to jednak wiedziała, że niezadługo wyjdzie na świat szeroki, piękny, o którym ojciec cuda jej opowiadał, że będzie bogatą, i to oczekiwanie było także szczęściem, bo szczęśliwi jesteśmy dotąd, dopóki się czegoś spodziewamy. Od czasu poznania Jana, przyszłość w bardziej różowych jeszcze przedstawiała się jej barwach.

Ale od kilku dni zmieniło się to wszystko; świetne barwy pociemniały, życie straciło dla niej urok. Czuła się bardzo nieszczęśliwą i dlatego słów panny Zenobii słuchała z taką głęboką uwagą. Religia chrześciańska jest religią nieszczęśliwych, tym, którym życie nie może już nic ofiarować prócz cierpienia, religia obiecuje szczęście wieczne, uciśnionym mówi o sprawiedliwości boskiej. Amelia chciwie połykała spragnioną duszą te nauki wiary, która jej dawała nadzieję w chwili, kiedy straciła całkiem nadzieję. A choć gorliwa nauczycielka subtelnościami dogmatycznemi mąciła i gmatwała zasadniczą istotę wiary, to jednak uchwyciwszy wzrokiem duszy głośne jej punkta: nieśmiertelność, sprawiedliwość, nagrodę po śmierci, wciąż zwracała się ku nim, jak do sterniczych gwiazd na niebie, i nie dała się wprowadzić na manowce.

— Więc powiadasz pani — odezwała się przerywając pannie Zenobii, która chciała znowu zapuścić się w tłómaczenia jej jedności trójcy — powiadasz pani, że wasza religia....

— Nie nasza, moje dziecko, to jest katolicka, powszechna.

— Więc, że katolicka religia każdego zrobi szczęśliwym?

— Jeżeli się żyje ściśle podług jej przepisów i wypełnia przykazania boskie i kościelne.

— A jeżeli moje szczęście przeszkadzać będzie innej osobie do szczęścia?

Panna Zenobia wypatrzyła na nią zdziwione oczy, jakby mówiła niemi, że tego nie rozumie. Amelia zapłonęła zmięszana. Nie śmiała jaśniej tłómaczyć się przed obcą osobą, a jednak pragnęła mieć rozwiązaną tę wątpliwość.

— Jak to rozumiesz? — spytała Zenobia.

— Jeżeli naprzykład jakaś, jakaś panienka kocha kogoś i ta miłość potrzebna jej do szczęścia jak powietrze, jak woda, a w tym człowieku kocha się druga. Wszak obie nie mogą być szczęśliwe?

— Ależ to herezya, moje dziecko, tak myśleć o szczęśliwości wiecznej. Tam nie będzie żadnej takiej miłości.

— Nie będzie? To ja nie chcę waszego nieba — odezwała się żywo Amelia i odsunęła się od Zenobii. — Cóż mi to za niebo bez miłości.

— Ależ poczekaj, moje dziecię — tu wzięła ją za rękę i pociągnęła ku sobie — będzie miłość, ale miłość powszechna. Wszyscy będziemy się miłować.

— Ja nie chcę takiej miłości, jabym umarła z bolu, gdybym widziała, że on kocha innych, inne tak, jak mnie.

— Co za on?

Żydówka spostrzegła się, że się zdradziła. Zakryła ze wstydu twarz rękami i czas jakiś tak siedziała. Potem zerwała się nagle, wzięła Zenobię za obie ręce i patrząc jej ostro w oczy rzekła:

— Ale pani nie powiesz tego nikomu, prawda? Pani nie będziesz chciała korzystać z mojego zapomnienia i nie powiesz nikomu, nawet jemu? Przyrzekasz mi to pani?

— Ależ ja nie wiem, moja kochana, o kim mówisz.

Panna Zenobia popełniła niewinne kłamstwo dla uspokojenia żydówki. I rzeczywiście to się jej w zupełności udało. Amelia była przekonaną, że wszyscy muszą znać tajemnicę jej serca. Była podobną do osoby, która poszła pierwszy raz na maskaradę i rumieni się pod maską, że ją wszyscy widzą, poznają. Naiwność, z jaką wypowiedziała panna Zenobia ostatnie pytanie, przekonała ją, że się pomyliła i to ucieszyło ją. Dodała więc szybko.

— Więc dobrze. Zapomnij pani o tem com mówiła, zapomnij o tem, żeś tu była nawet.

— Ależ przecie nie dokończyłam ci jeszcze o trójcy przenajświętszej. Otóż widzisz jest troistość w jedności i jedność w troistości, a to....

Żydówka wstrząsnęła głową niechętnie.

— Przestańmy już mówić o tem, to mnie męczy.

— Może wykład o trójcy przenajświętszej za trudny jeszcze na początek dla ciebie; więc możemy....

— Nie, nic nie chcę słyszeć. Nie chcę tej waszej religii. Po co mi nieśmiertelność, jeżeli mam wiecznie cierpieć.

— Ależ mówiłam ci, że jest szczęśliwość wieczna.

— Bez miłości, to niepodobna.

— Bez miłości ziemskiej.

— To nie jest ziemska miłość, nie prawda. Ja przez tę miłość zrozumiałam, kto jest Bóg, dla niej tylko chciałam nieśmiertelności, a jeżeli ta miłość ma umrzeć, to i ja wolę umrzeć z nią.

Słowa te obrażały w najwyższym stopniu dziewiczą wstydliwość panny Zenobii i jej religijne uczucia. Według niej było to bluźnierstwem. Jednak aby nie zrażać żydówki, której nawrócenie położyła sobie za zadanie i zasługę przed panem Bogiem, nie sprzeciwiała się jej. Chciała ją traktować jak obłąkanego, któremu się potakuje, aby go nie drażnić. Miała zupełną nadzieję, że skoro łaska boska dostatecznie oświeci tę duszę, sama wyrzeknie się swoich błędów. Wchodząc więc w myśl ży-

dówki przyznała jej, że w istocie religia nie potępia takiej miłości i że wybrane dusze cieszyć się nią będą wiecznie. Sposób ten skutkował, bo żydówka znowu podała chętne ucho jej naukom. Szło jej głównie o rozwiązanie tej wątpliwości, jak Bóg pogodzi miłość dwóch kobiet do jednego mężczyzny z ich szczęśliwością. Panna Zenobia i tu dla dobra wiary zdobyła się na kłamstwo i rzekła:

— Tu już roztrzygać będzie większa miłość. Ta będzie szczęśliwą, która więcej kochać będzie.

— O! to ja będę szczęśliwą — zawołała z rozjaśnionem spojrzeniem i siłą w głosie. — Poddam się najcięższym próbom, aby Bóg przekonał się, jak go kocham.

— Przedewszystkiem jednak potrzeba chrztu — odezwała się znowu Zenobia, nakręcając rozmowę na właściwe drogi.

— Więc czegoż potrzeba, aby być ochrzczoną? (C. d. n.)

NARODOWOŚĆ POLSKA

POD PANOWANIEM NIEMIECKIEM

przez

KAROLA LIBELTA.

(Dokończenie).

Czem Towarzystwo pomocy naukowej jest z dołu, tem Towarzystwo Przyjaciół nauk jest z góry. Jedno i drugie naukowa pracownia narodowej oświaty. Myśl takiego polskiego zakładu podali Kazimierz Szulc i ks. Franciszek Malinowski (gramatyk), drowi Władysławowi Niegolewskiemu należy się zasługa, że zebrało się grono mężów światłych pod prezydencyą hr. Tytusa Działyńskiego i założyło towarzystwo pomienionego nazwiska, zaopatrzywszy je funduszem żelaznym, ze składek jednorazowych w kwocie 200 tal. i funduszem na bieżące wydatki po 4 talary rocznie. Dwa wydziały nauk historycznych i przyrodniczych, do których później przyłączyła się sekcya lekarska i wydział ekonomiczno-statystyczny, obrabiają naukowe prace twarzystwa. Roczniki, teraz co rok wydawane, są tych prac wynikiem. Niebawem urosło towarzystwo w bibliotekę i pamiątki starożytności słowiańskich.

Wszakże i ta cicha naukowa praca nie unikła podejrzenia o polityczne tendencye. Odjęto jej pożywne soki, bo uczonym z powołania, to jest profesorom i urzędnikom zabroniono brać udział w pracach towarzystwa. Był czas, że już tylko wegetowało. Rugowane nareszcie z dotychczasowej bezpłatnej siedziby w gmachu biblioteki Raczyńskich, gdy własność realna tego gmachu przysądzoną wyrokiem prawnym została magistratowi miasta Poznania, nie miało gdzie skłonić głowy i pomieścić bogatych już zbiorów swoich, aż dyrekcya bazaru ofiarowała mu przytułek w pokojach hotelu swego. Ofiarowany bezpłatnie lokal okazał się za szczupły, gdy obfite artystyczne i literackie zbiory barona Rastawieckiego, zakupione przez jednego z gorliwych obywateli, darowanemi zostały Towarzystwu Przyjaciół nauk. Szczodry ofiarodawca zaradził i temu niedostatkowi. Z własnych funduszów nabył dom w Poznaniu na własność towarzystwa, i zrobił projekt, aby ze składek dobrowolnych, na podwórzu obszernem nabytego gruntu, wzniesioną została budowa muzeum artystycznego. Jego to szczodrobliwością ustalił się nareszcie i utrwalił byt towarzystwa, a instytucya naukowa podniosła się do rzeczywistego znaczenia i pożytku.

Jak zabiegliwością kasztelana Wężyka i składkami przezeń zebranemi stanął w Krakowie wspaniały gmach Towarzystwa naukowego, dziś już wyniesionego do stopnia cesarsko-królewskiej akademii umiejętności; — tak tu ofiarą jednego męża, co umiał naukowe znaczenie naszego towarzystwa ocenić, stanie dom stowarzyszonych i będzie połączony z biblioteką, galeryą obrazów i sztychów, numizmatyką, zbiorem starożytności i rozlicznych wykopalisk — wszystko obrócone na publiczną i powszechną korzyść, chcących z tych skarbów nagromadzonych korzystać. Patrząc się jak z małych i niepozornych zaczątków, wśród nieprzyjaznych okoliczności, tak wielkie i pożyteczne dzieła powstają, trudno nie powiedzieć, że na usilnościach naszych narodowych spoczywa błogosławieństwo boże. Cześć mężom, co tego błogosławieństwa byli widocznemi narzędziami.

W braku uniwersytetu zawiązały się półroczne wyższe wykłady naukowe w Poznaniu. Jędrzej Moraczewski czytał historyą polską, aż do czasów elekcyi; adwokat Krautofer dał obraz historyi prawa; dr. Matecki wykładał chemią experymentalną; dr. Libelt literaturę niemiecką i es'etykę. Liczną była słuchająca publiczność. Tymczasem po dwu latach wykładów, ze strony rządu położono im koniec, jako nieodpowiadającym celowi. — O wiele lat później ponowiły się odczyty publiczne, jedną lub kilku godzinami objęte. Pouczające wprawdzie i pożądane, ale bez tej gruntowności, jaką dają półroczne kursa, na sposób uniwersytecki wykładane. Dziś odczyty godzinne polskie są na porządku dziennym, miane w rozmaitych zgromadzeniach to dobroczynnych, to przemysłowych, to na dekanalnych zebraniach nauczycieli.

Wiele się przyłoży do podniesienia u nas narodowej oświaty stowarzyszenie, zawiązane ku wystawieniu gmachu teatralnego dla sceny polskiej w Poznaniu. Nie dawno jeszcze, a z wielką trudnością udawało się dyrekcyom dramatycznym z Warszawy i Krakowa zyskać pozwolenie występowania w teatrze miejskim poznańskim. Nie trwało to pozwolenie dłużej nad dwa miesiące i drogo się trzeba było opłacać dyrekcyi niemieckiej, której teatr od magistratu w najem był wypuszczony. Gdy teatr policzono do rodzaju procederu i ogłoszoną została w Prusiech wolność procederowa, otwartą była wolność występowania u nas artystom dramatycznym polskim. Trwała wszakże uciążliwość opłaty od najmu budynku scenicznego, co znacznie umniejszało dochody z biletów. Zapobiegnie temu stowarzyszenie akcyjne dysponujące już znaczną sumą pieniędzy. Niebawem Polacy mieć będą w Poznaniu własny teatr, i daj boże, stałą w nim scenę narodową. Nic tak nie wykształca gustu, poloru; nie poucza dziejów, obyczajów, języka; nic tyle nie gromadzi wrażeń narodowych, i nie odbija ich razem na fantazyi, rozumie i sercu, ile scena rodzinna, przez zdatnych przedstawiana artystów. Jeżeli na jej czele stoi równie zdatne kierownictwo dyrygujące i repertoarem i doborem sił dramatycznych, teatr stać się może i powinien stałą i ciągłą szkołą wykształcenia, moralności, obyczajowego i rodzinnego życia narodu.

Drugą taką rozległych wpływów instytucyą jest stowarzyszenie oświaty, zawiązane nie tylko u nas pod rządem pruskim, ale i w Galicyi pod austryackim. W tej ostatniej, acz posiadającej pięciomilionową ludność, nie widać jeszcze tego zapału, który dawać powinno przekonanie, że tylko na drodze oświaty możliwem jest odrodzenie się nasze do lepszego materyalnego i moralnego bytu; że jeżeli nam świeci jaka szczęśliwsza przyszłość, to tylko dojdziemy do niej na drodze opromienionej jasnością rodzimego światła. U nas w księstwie i w prowincyach pruskich także jeszcze trzeba zachęty, którą da zapewne komitet, złożony z mężów energicznych i nieposzlakowanych.

Z tego wszystkiego, cośmy o oświecie i jej zewnętrznych u nas pojawach powiedzieli, pokazuje się widocznie na czem jej narodowy charakter polega. Acz Grecy wykształcili idealne umiejętności: poezyą, wymowę, filozofią; Rzymianie zaś realny wziąwszy kierunek, wyrobili prawo, będące dotąd w instytucyach i pandektach, podstawą nowoczesnego prawa; — acz Germanie przedewszystkiem są filozoficznym i myślącym narodem, Francuzi i Anglicy w matematycznych i fizycznych celowali wiadomościach; — to jednak umiejętności same przez się są kosmopolitycznej natury. Oświata staje się narodową, nie przez nauki, jako takie, ale przez ich wykład w rodzinnym języku, przez nauczycieli swojskich, i przez poznanie dokładne nie tylko dziejów ojczystych, ale i całego zapasu poezyi i prozy narodowej. Podniecają ją i ożywiają pomniki przez naród stawiane na uczczenie wielkich pamiątek narodowych. Sypanie kopca Kościuszki pod Krakowem, gdzie w pobliżu z obu stron Wisły, wznoszą się starożytne słowiańskie kopce Krakusa i Wandy; — sypanie kopca pode Lwowem za sprawą posła miasta Lwowa Franciszka Smolki; — sypanie kopca w Kruszwicy po nad Gopłem w tysiącletnią rocznicę zaprowadzenia u nas chrześciaństwa, ku czemu już pierwsze kroki poczynił zmarły dziedzic Kościelca Adolf Łączyński, — oto wielkie po ziemiach dawnej Polski rozgłośne pamiątki, podnoszące ducha ojczystego, zrozumiałe dla umiejętnych i nieumiejętnych, wieczne, o ile dzieła ludzkie wiecznemi być mogą.

W te strony i temi drogami oświata narodowa się kieruje. Atoli nic się nie stanie bez ofiar i poświęcenia. A nie będzie ani jednego, ani drugiego, jeżeli w nas samych się nie zatli narodowa powinność, silniejsza od tych materyalnych i czasowych względów, które nas nieraz kuszą i owe obowiązki święte, bo przyrodzone w uczuciach zacierają. Nieraz niewieścia połowa narodu, w publicznem życiu nie silna, ale w domowem potężna, roznieca, budzi i pielęgnuje w młodzianie i mężu, ten znicz narodowy, by nie przygasł w natłoku powszednich interesów społecznego życia.

Uczony Edgar Quinet, znany przyjaciel i wielbiciel Mickiewicza, który za Napoleona III wiele lat przepędził na wygnaniu w Szwajcaryi, dziś w czasopiśmie *Siècle* rozpisał się o warunkach odrodzenia Francyi. W 23 artykule odzywa się do kobiet, które wśród ogólnego zobojętnienia przechowały jeszcze patryotycznego francuskiego ducha: „Wiedźcie — powiada do nich — że od was jednych zależy nowy porządek rzeczy. Stopień cywilizacyi mierzy się waszem stanowiskiem do nas mężczyzn. Dwadzieścia lat niewoli zmieniło charakter Francu-

ców. Kto lody serc roztopić potrafi, jeżeli nie wy kobiety? Zapomniałyście o obowiązkach waszych i dlatego mamy dziś stan boju wszystkich przeciw wszystkim. Wy to znowu zmienić potraficie.“ Nie trzeba takiej przemowy do Polek, wybornych zawsze matek i obywatelek. Jeżeli kto, to one, instynktem kobiecym wiedzione, a sercem poczciwem zagrzane, poczują całe wielkie znaczenie oświaty dla teraźniejszości i przyszłości naszej, i to poczucie, gdzie trzeba, w otoczenie męzkie przeleją. Szczęść Boże tej zobopólnej pracy, bo biada nam, gdybyśmy sami jedni zacofani stali w narodowości naszej, gdy na okół nas świat germański i romański pospiesznemi kroki, w oświecie coraz wyżej podążają. „Z głupstwa wszystkie nieprawości rosną — powiada Łukasz Górnicki w przedmowie do Zygmunta Augusta — jeśli pierwej nie wypurguje człowiek oczy umysłu swego, a nie będzie widział tej dobrej drogi, którą iść ma, nie jest rzec można, aby kiedy sam z siebie przystojnie żyć mógł.“

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(*Ciąg dalszy*).

Gdzież więc znaleść skuteczne rękojmie, zabezpieczające osobnika przeciw administracyi i większości politycznej? Jeden tylko na to jest środek — ograniczyć państwo, określić dziedzinę, w której zakresie może ono używać władzy nieograniczonej, i po za którą wyjść nie powinno. Innemi słowy, centralizacyi dobroczynnej i prawowitej, gdy broni niepodległości i pokoju kraju, despotycznej i wichrzycielskiej, gdy wychodzi z swego zakresu, należy przeciwstawić wolny rząd osobnika nad samym sobą, *self government*, samorząd. Francuzom brak dla wyrażenia tego pojęcia odpowiedniej nazwy, bo też brak i samej treści.

Wolność osobnikowa, wolność religijna, wolność nauczania, wolność prasy, wolność municypalna, wolność stowarzyszeń dążą w ślad za samorządem, jako naturalne i niezbędne jego następstwa. Pod tym względem Evetvoes mówi to samo co Humboldt i Mill; a jest to niezaprzeczonym dowodem prawdy, jeżeli różne umysły, z różnych wychodząc stanowisk, spotykają się bynajmniej nie szukając.

Czy idee te uświęca doświadczenie? Dość otworzyć oczy, które to kraje wyniszcza zaraza rewolucyi? Anglią czy Austryą, Francyą czy Amerykę, Neapol czy Belgią? Możnaby twierdzić, że centralizacya i rewolucya wzajemnie się nawoływują.

Cóż sprzeciwia się tej reformie, na której kraj nic nie cierpi, ponieważ zyskuje na wpływie i sile rzeczywistej to, co traci na przywilejach kłopotliwych i niebezpiecznych? Sprzeciwia się temu przesąd. Przesiąkliśmy pojęciami Greków i Rzymian, i pojęcia te znajdujemy na dnie teoryi demokratycznych i socyalnych. Wszystkie te wrzekomo liberalne teorye wręczają narodowi urojone zwierzchnictwo, a w rzeczywistości zakładają tylko podstawy despotyzmowi państwa. Jeżeli chcemy, aby cywilizacya weszła na drogę postępu, jeżeli chcemy rozbroić rewolucyą, musimy oswobodzić osobnika, musimy rozwinąć swobody osobiste.

Ludzie z małą wiarą i niewielką odwagą powtarzają nam bezustannie, że dzisiaj postęp jest niemożebnym. Porównywają wiek nasz z ostatniemi czasy cesarstwa rzymskiego i rozwodzą się o upadku spowodowanym przez nadmiar cywilizacyi. Ta sama żądza używania, powiadają, ten sam brak zasad u osobnika i w pospólstwie, to samo płaszczenie się przed władzą wszelkiego rodzaju, ta sama pogarda wszystkiego, cokolwiek wieki czciły, ta sama czczość duszy ludzkiej. Są to wszystko poglądy powierzchowne. Na szczęście dla nas między społeczeństwem rzymskiem a naszem istnieje cała przepaść. Wówczas gdy starożytna cywilizacya upadła, dzieło jej było już skończone, ujarzmiła ona osobnika państwa. Wszyscy ci sławni prawoznawcy, Papiryany, Paulusy, Ulpijany nigdy nie uczyli, że obywatel, jako człowiek, posiada prawa, które nawet cesarz obowiązany jest szanować. Ta świętość osoby człowieka jest ideą chrześciańską, pogaństwo nawet się jej nie domyślało. Dziś idea ta stanowi podstawę naszej cywilizacyi. Dogmat osłabł być może, lecz uczucia ludzkości, braterstwa, równości, uczucia stanowiące istotę chrześciaństwa są żywsze aniżeli kiedykolwiek.

W ostatnich czasach cesarstwa rzymskiego ucisk despotyzmu zgniótł miłość ojczyzny i wolności, a wraz z nią znikł duch starożytnej cywilizacyi. Dziś miłość wolności, lecz wolności cywilnej, osobnikowej, chrześciańskiej, rośnie i posuwa się naprzód. Przez wszystkie rewolucye, pod imieniem wolności, narodowości, konstytucyi, czegoż żądają, czegoż szukają narody, jeżeli nie wolności? Społeczeństwo z podobnemi życzeniami nie jest społeczeństwem upadającem. Cywilizacya upada, gdy braknie jej ożywiającej ją idei, my zaś przeciwnie, znajdujemy się w chwili bolesnego porodu nowej idei, za nią dążymy, żadne niepowodzenie nas nie nuży, żadna klęska nas nie powali. Nie lękajmy się czczych pozorów. Wino stare i psujące się, wino świeże i fermentujące zarówno są mętne, lecz gdy pierwsze ulega zepsuciu, z drugiego otrzymujemy likier wyborny. Ufajmy przyszłości.

Walka jest trudna, dzień jest ponury. Nie walka dwu stronnictw wydzierających sobie władzę wichrzy ląd stały, lecz walka dwu cywilizacyi. Rzym i Germania na nowo swój odwieczny wszczynają pojedynek raz jeszcze, idea pogańska i idea chrześciańska, despotyzm i wolność wydzierają sobie panowanie nad światem, lecz jakkolwiek straszną jest próba, koniec nie może być wątpliwym. Gdy prawda się przejawia, gdy oczy zwracają się ku nowej gwieździe wschodzącej na nieboskłonie, powodzenie jest tylko kwestyą czasu. Namiętności starzeją się i zmieniają, stronnictwa słabną, prawda tylko nie umiera. Bezwątpienia w kraju takim jak Francya (powiada Evetvoes), gdzie wykorzeniono wszelką organizacyą prywatną, gdzie przyzwyczajono obywatela do opieki państwa, gdzie, że tak się wyrażę, odjęto osobnikowi zdolność rządzenia samym sobą, potrzeba będzie dłuższego czasu na zmianę zbutwiałego porządku rzeczy. Drzewo, które przez pół wieku obcinano „z francuska,“ nie wyda przez jednę noc gałęzi swobodnych i silnych, długo da nam ono czekać na swój cień dobroczynny. Lecz cóż to znaczy? Idea dojdzie swego przeznaczenia, owładnie umysłami, państwo nareszcie zrozumie prawdziwy swój interes, i od tej chwili rewolucya będzie już zbyteczną. Skoro tylko państwo zaniecha przygniatać swym ciężarem osobnika, wolność wykwitnie z cudowną siłą.

„Odwagi — mówi kończąc Evetvoes — nie chylimy się ku upadkowi, lecz dążymy do ukończenia dzieła chrześciaństwa. Im groźniejszy jest bałwan, tem silniej popycha on okręt i tem pewniejsi jesteśmy, że zbliżamy się do portu. Zawody, które nas dotknęły, rewolucye, które nas wyniszczyły, były doświadczeniem koniecznem, by nas wycofać z fałszywej drogi, gdzie się zapuściła polityka, jeszcze cokolwiek wytrwałości i poświęceń. Obowiązek jest wytknięty, zwycięztwo zapewnione. W świecie idei zwycięztwo należy zawsze do prawdy i odwagi wspierającej prawdę. Na chrześciaństwie i moralności tego zwycięztwa czyste ręce wzniosą budynek, „pod którego osłoną schronią się nasze dzieci.“

Sześć lat minęło od czasu, w którym Evetvoes te wymowne pisał słowa, naówczas był on marzycielem, Austrya wtedy sądziła, że rośnie zmuszając dwadzieścia ludów rozmaitych do znoszenia jarzma centralizacyi, dzisiaj jest on tym teoretykiem pogardzanym, którego idee tryumfują. Oby tylko Węgry usłuchały mądrych rad jego i zrozumiały, że w naszym wieku inne są warunki wolności, niż za czasów starych konstytucyi feodalnych. Dziś, jak to słusznie powiada Evetvoes, zadanie nie polega na osłabieniu państwa, lecz na wzmocnieniu osobnika.

(C. d. n.)

NIE ZAWSZE WIERZYĆ TRZEBA

NOWELLA

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

Na jednej z oddalonych ulic od środka miasta, w czystej i nowej kamienicy, w pomieszkaniu pierwszopiątrowem, najmowanem przez wdowę po wyższym urzędniku, panował nie zwykły ruch, jeżeli można nazwać ruchem żywe zajęcie trzech osób. Sama pani, nie młoda już, jedyny jej syn, praktykant sądowy, dwudziesto kilkoletni piękny brunet, i sługa, zamieniona paroletnią wierną służbą w towarzyszkę cichego wdowiego życia, zajęci byli od rana urządzaniem pokoiku na przybycie spodziewanego gościa. Pownoszono już i poustawiano co tylko do przyjemności i wygody mogło być potrzebnem; zawieszono białe firanki, postawiono kwiaty z wazonkami na oknach, a piękny bukiet na stoliku, gdy turkot powozu zatrzymującego się przed domem pociągnął młodego panicza do okna.

— Zajechała umówiona dorożka, spieszmy mamo, aby nie czekała na kolei, jedzie sama, a nieprzywykła do ciżby i ścisku, jaki panuje na dworcu przy wysiadaniu, powinna zastać nas czekających na peronie, gdyż inaczej może być jej przykro.

— Idę, idę, moje dziecko, ale patrzno czy dobrze ta firanka zawieszona?

— Mniejsza o to, poprawić można później, a teraz ostateczny czas na kolej, — już niecierpliwie zawołał młody człowiek.

— Guciu, ty wiesz najlepiej, jak ja kochałam jej matkę, i jak serdecznie przyjmuję pod moją

opiekę biedną osierociałą Lolę, lecz nie taję się przed tobą z niepokojem, jakiego doznaję na myśl, że ty możesz się pokochać w niej, co utrudni tobie karyerę, a jej stanąć może zawadą do losu. Chleba nie prędko na drodze sądowej dorobić się możesz, parę lat minie nim pierwsze liche utrzymanie dostaniesz, z którem bynajmniej jeszcze o ożenieniu myśleć nie można, a nim dojdziesz do jakiego tysiąca złr. pensyi, to może sześć i siedem lat ubiedz. Przestrzegam cię więc naprzód, sam się pilnuj i dziewczyny nie bałamuć, gdyż taka ładna jak ona, może los swoją pięknością zrobić; ale na to trzeba by miała rozsądek; a to wiadoma rzecz, że rozsądek z miłością nigdy w parze nie chodzi. Gdy tylko miłość zagląda do serca, rozsądek ucieka z głowy. Pamiętajże byś jej rozsądku z głowy nie wypłoszył!

Gustaw stał i słuchał przedstawień matki, ale tak niecierpliwie, jak czasem słuchamy turkotu ulicznego, któremu zapobiedz nie możemy, a pilno nam by ustał, gdyż mamy coś ważnego do powiedzenia.

— Już to wszystko słyszałem raz, a teraz jedźmy, bo późno będzie.

— Są to rzeczy, których młodym nigdy nad to nagadać nie można.

— Chodźmy mamo!

I sprowadził matkę po schodach na dół, wsadził do dorożki, sam wskoczył i zawołał na woźnicę:

— Na kolej czerniowiecką!

W godzinę później po tych samych schodach, obok syna i matki wstępowała smukła i wiotka blondynka w grubej żałobie. Gustaw niósł ręczną torebkę i parasolik, a sługa z furmanem dość spory kuferek obciągniony szarem płótnem i nabijany mosiężnymi gwoździkami. Gdy pani B. wprowadziła gościa swego do saloniku, zwróciła się ku niemu z otwartemi ramionami, mówiąc wzruszonym głosem:

— Niechże cię powitam, droga Lolu, pod moim dachem, który odtąd ma ci zastępować dach rodzinny.

Lola odsunęła welonik, rzuciła się ciotce w objęcia i przycisnęła mocno twarzyczkę do jej ramienia, a gdy główkę podniosła, dwie łzy błyszczały na ciemnych rzęsach. Zwróciła wzrok na stojącego obok Gustawa i spotkała jego czarne oczy spoczywające na sobie. Łezki zbiegły po policzkach i utonęły gdzieś w fałdach sukni, a piękne niebieskie źrenice wypogodziły się i zajaśniały jak niebo opłukane wiosennym deszczem. Dwie te łzy były ostatnim już datkiem jęku, po niedawno zmarłej matce. Lola była jedynaczką tak psutą i tak bałwochwalczo kochaną, iż sama kochać się nie nauczyła. Śmierć matki w pierwszej chwili uczuła bardzo, lecz żal jej długo trwać nie mógł, nadto robił jej przykrości, a ona przykrości znosić nie umiała, starała się więc uspokoić. Teraz przyjazd do miasta, do ciotki, spodziewana zmiana trybu życia, tyle nowych wrażeń, chociaż pamięci matki nie zatarły, przecież żalowi po nie już podnieść się nie dadzą, i dwie łzy wywołane powitaniem ciotki, a spłoszone wzrokiem kuzyna, były ostatnie wylane po jej stracie.

Lola chociaż w grubej żałobie, była bardzo miłym żywiołem w cichem życiu wdowy z synem. A ślicznie bo to jej było w czarnych sukniach. Włosy jasne jak złotą aureolą otaczały różową twarzyczkę, usteczka kształtne i karminowe, za lada uśmiechem odsłaniały zęby drobne a równe jak sznurek pereł, a w oczach niebieskich tyle było wdzięku, że ani dziwmy się panu Gustawowi, że o przestrogach matki pierwszego dnia zapomniał. Dla każdego urzędnika najmilszą chwilą w dniu jest chwila wyjścia z biura, dla Gustawa stała się ona teraz tak upragnioną, iż na myśl o niej, serce uderzało mu przyspieszonem biciem, i krew falowała do głowy. Pierwej, gdy tylko matka oczekiwała go z powrotem w domu, chociaż matka bardzo kochana przez niego, często opóźniał ten powrót przechadzką z kolegami po mieście lub po wałach. Teraz siedząc jeszcze przy biorze w kancelaryi sądowej, widział już śliczną twarzyczkę o jasnych włosach i niebieskich oczkach, wyglądającą w ulicę przez okno wśród zieleni róż i mirtów. To też opuściwszy gmach sądowy, biegł jak na skrzydłach, by jak najprędzej pochwycić uśmiech ślicznych usteczek, przesłać jeszcze z ulicy ukłon wdzięcznym oczkom wypatrującym przybycia jego. Wbiegał potem przeskakując po dwa schody na górę, gdyż wiedział, że piękna kuzynka powita go już w pierwszym pokoju serdecznem uściśnieniem ręki. Chwila wypoczynku, obiad zjedzony razem, przechadzki wieczorne, czy to po ogrodzie Jezuickim, czy za miastem, miały wdzięk nieopisany dla obojga. Gustaw z niewypowiedzianą radością spotykał wtedy znajomych i sądowych kolegów, i gdy ci nazajutrz mówili mu, że kuzynka jego jest nie często spotykaną pięknością podkręcał czarnego wąsika, mówiąc z pewną dumną skromnością:

— Przystojna — istotnie przystojna dziewczyna.

Nie potrzeba na to wiele dowcipu, aby domyśleć się, że Gustaw kochał się już w Loli. Lecz w miłości jego było wiele próżności, wiele tego egoistycznego zadowolenia, iż ta, w której się kocha, jest znakomitą pięknością, że drudzy muszą mu zazdrościć tego szczęścia, a wiedząc doskonale, że jest kochanym, chociaż dotąd nie usłyszał jeszcze tego od kuzynki, lecz czyż słów potrzeba, by zakochany poznał, że jest nawzajem kochany, wiedząc więc o tem, pragnął czasem nawet rywala, by tryumfować nad nim, by pokazać, że przez ową piękną, przed którą czołem biją, on jest wybrany!

Gustaw był także jedynakiem, miał więc w sobie wiele próżności i zarozumiałości. Dwie te wady rzucały cień na uczucie jego, nie dawały mu swobodnie wykwitnąć, tak jak brzydkie chwasty nie dadzą najpiękniejszemu kwiatu zajaśnieć barwami przyrodzonemi. Lecz pomimo tego, a właściwie dla tego, ściskał drobne rączki kuzynki, ścigał gorącemi spojrzeniami niebieskie jej oczy, nie opuścił żadnej sposobności, gdy tylko matka nie słyszała, by nie rzucił jej jakie serdeczne, czułe słówko. Z taktyką spojrzeń szło mu łatwiej, jak z miłemi słówkami. Matka nieodstępnie była z nimi, tak w domu jak na spacerach, a nawet tak się zarządzała zajęciami, iż w chwilach wolnych, które syn spędzał w domu, nie wychodziła zupełnie, nie opuszczała pokoju, w którym młodzi ludzie znajdywali się. Pilnowała. Lecz proszę mi powiedzieć, kto, kiedy dopilnował tego psotnika skrzydlatego, który od wieków broi jednakowo. Tak już jest opisany, tak dosadnie i szczegółowo odmalowany przez autorów i poetów, a przecież ani nikt sam siebie nie upilnował przed nim, ani nikt najprzezorniejszy nie upilnował drugich. Nie dziwmy się więc, że i pani konsyliarzowa pomimo że pilnowała, nie dopilnowała. Psotnik ów bitą drogą przez oczy dostał się do serca, i osiedliwszy się tak w jednem jak w drugiem, przesyłał strzały swoje z czarnych oczu do niebieskich i na odwrót. Matka nie wiedziała o niczem. Słysząc zamieniane tylko obojętne słowa między nimi, uspokoiła się nawet bardzo. Myślała sobie, Gucio rozsądny i szlachetny chłopiec, nie mogąc się żenić, nie będzie bałamucił dziewczyny.

Gucio też nie myślał o żenieniu, gdyż jak na teraz, wiemy, nie mógł myśleć o niem.

Z początku zadawalniali się oboje temi strzałami, które padały z ich oczu, lecz wkrótce oswojeni z tem, zapragnęli częstszych i dłuższych sposobności zamienienia słów przekradanych. Trudno, bardzo trudno, było zdobyć sobie chwile takie, lecz od czegoż spryt pana Gustawa. Pani konsyliarzowa od wielu już lat w każdą sobotę wieczór przepędzała na kartach u swej przyjaciółki pani radczyni. Od przybycia Loli wieczory te sobotnie, składające się z samych starszych osób, rozjaśniały się i odmłodniały jej towarzystwem. Stary pan radca uśmiechał się do niej po młodemu i prawił komplementa, pensyonowany kapitan w randze majora poprawiał mundur i radby się był zrobić młodszym, a nawet szanowny i bardzo poważany od wszystkich aptekarz, człek zamożny i uczony w chwili, gdy wychodził z gry, przysiadał się do niej i z przyjemnością słuchał jej szczebiotania. Młodość i uroda jak magnes wszystkich pociąga ku sobie. Lola śmiała się, trzepała, zaczepiała ostremi słówkami i zwyczajnie jak kobieta, rada była i takim hołdom. Z przyjemnością więc uczęszczała z ciotką na sobotnie wieczory do p. radczyni. Gustaw najczęściej odprowadzał panie, i o dziesiątej przychodził po nie.

Jednej soboty znalazł wolną chwilkę, by szepnąć kuzynce.

— Nie idź dziś wieczór, powiedz, że cię głowa boli i zostań w domu.

Nie miała czasu zapytać o przyczynę, ciotka weszła, lecz domyślna panna, po chwili domysłu nie potrzebowała już objaśniania. Gustaw wychodząc rzucił na nią wzrokiem, który mówił „w mojej nieobecności.“

Lola usiadła na kanapce, wzięła jasną główkę w dłonie, i łokcie sparła na kolana.

— Co tobie duszko? — zapytała troskliwa opiekunka.

— Ach ciociu! tak mnie głowa boli, że aż mi się ćmi w oczach!

— Dziecko moje, wszakże rano byłaś zdrowa.

— Ja też sama nie wiem zkąd mi ten ból głowy, ale teraz bardzo, bardzo mocno boli.

— Może zrobić ci kompressy z zimnej wody?

— Nie, ciociu, ja tylko potrzebuję spokoju. Tak mi to przykro, że nie będę mogła dziś pójść z ciocią do pani radczyni.

— A, moje dziecko, jakżeż ja ciebie zostawię samą i słabą, to więc i ja nie pójdę.

— Ach nie, nie! niechże mi ciocia nie robi tej przykrości, aby sobie odmawiała zabawy dla mnie! cóż mi się stać może, zamknę się w moim pokoiku, przespię parę godzin, i ból ustąpi, znam moją naturę.

Pani konsyliarzowej wist sobotni potrzebny był do zdrowia niemal, dała się więc łatwo przekonać, że siostrzenica może bez obawy zostać w domu. Poczęła się zbierać, lecz przypatrzywszy się uważniej jej rysom, dostrzedz w nich można było pewny niepokój. Gustaw wszedł, pokręcił się po saloniku, nareszcie stanął przed matką.

— Przyszedłem mamie powiedzieć, iż dziś

…ch Maryanna pójdzie po mamę i kuzynkę do …radczyni, gdyż ja nie będę mógł przyjść, idę …wiem do teatru, a sztuka którą dają, przecią…ie się do 11 co najmniej. Niepokój z rysów matki znikł bez śladu.

— Dobrze, moje dziecko, idź do teatru, po nas przyjdzie Maryanna.

Nie wspomniała mu, że Lola zostaje w domu. Na przezorności, pomyślała sobie, nikt nie traci.

Księżyc w pełni wzbił się na niebo, rzucił snopami srebrnych promieni na miasto, a łamiąc je po dachach, przyczołkach i murach, najprostszą kamienicę zmienił chwilowo w starożytny budynek. Przy blasku księżyca wydaje się wszystko wspanialsze, poważniejsze i piękniejsze! I Lola stojąca w blasku jego promieni pod oknem z kwiatami, wydała się Gustawowi stokroć piękniejszą niż kiedy.

— Jakaś ty dobra, iż nie odmówiłaś mojej prośbie!

— Nie powinnam była tego zrobić, nie powinnam była zostać w domu.

— Czy żałujesz? nie mów tak, nie zatruwaj mnie tej chwili, którą tak pragnąłem! Ach tak pragnąłem wypowiedzieć ci całą miłość moją!

— Na cóż mówisz mi o tem, wszak wiem, że jesteś dobrym bratem i kochasz mnie jak siostrę. Droczyło się z nim dziewczę.

— Nie, nie jak siostrę — lecz jak najdroższą kochankę! — zawołał namiętnie, pochwycił drobne jej rączki w dłonie swoje, i cisnął do piersi. Ona patrzyła mu w oczy z uśmiechem wyzywającym, a rozchylone usteczka tak wabiły ku sobie, iż młody chłopiec nie wiedząc kiedy pochylił się, objął ją jedną ręką w pół i złożył na tych ślicznych usteczkach długi, gorący pocałunek. Nie broniła się, lecz uczuwszy się uwolnioną z objęcia, powiedziała ze ślicznie gniewną minką.

— Guciu! będę się gniewała!

— To ja przeproszę! — zawołał wesoło, nachylając się powtórnie ku niej, szczęśliwy iż tak nadspodziewanie dobrze powiodło mu się po raz pierwszy.

— Widzisz, jaki ty szalony jesteś — powiedziała, poprawiając jasne włosy nad czołem i lekko odsuwając go od siebie. Pozostałam dziś w domu, aby w bardzo ważnej rzeczy pomówić z tobą, poradzić się, a ty mięszasz mi myśli. Jeśli nie będziesz słuchał spokojnie, to nic ci nie powiem!

— Będę słuchał najspokojniej, ale powiedz mi pierwej, droga moja, moja jedyna, że mnie kochasz!

— Nie, nie kocham — lecz gniewam się wszak powiedziałam, że gniewać się będę!

— Lolu! — zawołał Gustaw, i oblał ją takim namiętnym wzrokiem, z oczu jego posypały się w świetle księżyca takie blaski gorące, że dziewczę zadrżało, jak pod prądem elektrycznym, a uczuwszy jakąś niemoc przebiegającą wszystkie członki pochyliło się ku niemu. On nie myśląc opuszczać tak dobrej sposobności objął ją silnie, przyciągnął sobie do piersi i drugi, dłuższy i gorętszy pocałunek złożył na drżących usteczkach!

Już mu teraz nie powiedziała, że gniewać się będzie, lecz szepnęła namiętnie:

— Już mnie się nigdy nie pytaj, czy cię kocham! — I chwilę już stali potem w milczeniu, on zapatrzony na nią, ona ze spuszczonemi oczyma. W końcu Gustaw przerwał je.

— Co chciałaś mi powiedzieć? w czem się poradzić?

— Chciałam ci powiedzieć, że jeszcze za życia matki mojej starał się o mnie pan Józef Brzeski, majętny człowiek, nie młody już, lecz bardzo dobry i uczciwy, że mówił mi gdym wyjeżdżała, iż po upływie grubej żałoby przyjedzie do Lwowa po ostateczne słowo moje. To chciałam ci powiedzieć, i poradzić się, jak mam postąpić? Lecz w tej chwili już narada zapadła, odmówię mu, odprawię z niczem.

Gustawowi w czasie wypowiedzenia tych kilkunastu słów, błyskawicą przebiegła myśl przez głowę, jaka by to była śliczna rzecz, mieć zamożną, bogatą, a tak piękną kuzynkę. Myśl ta jak chłodny wietrzyk musnęła mu czoło i ochłodziła je. Lecz ostatniemi wyrazami: „odmówię mu, odprawię z niczem“ Lola podniosła oczy i źrenice jej zbiegły się z jego wzrokiem, a ciepło serdeczne bijące z nich rozwiało przelotny chłód myśli wyrywającej się w przyszłość.

— Ach, czyż mogłabyś inaczej postąpić! czy miałabyś serce burzyć szczęście nasze obecne, ja nie pojmuję już życia bez twojej obecności, gdyby mi ciebie brakło, świat cały byłby jedną wielką pustynią dla mnie!

Proszę mi pokazać jedną 18letnią dziewczynę, która by słowom takim nie uwierzyła, gdy je mówi piękny i kochany przez nią chłopiec? Gdy je mówi pod wrażeniem pierwszego pocałunku, pierwszego uścisku! Uwierzyła i Lola. (Dok. nast.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Gdy Florentczycy scenę jaką malowali, chodziło im o to, żeby się postacie tak ułożyły, by przedmiot był od razu zrozumiałym, by przytem oko całość na piękne, swobodne, a jednak matematyczne grupy rozłożyć mogło, i piękne postacie widziało, i wreszcie o to, by twarze odpowiedni wyraz miały. Takiem było przynajmniej dążenie Florentczyków nieco późniejszych. Podobnież i Wenecyanom chodziło o układ jasny i piękny, i przytem o barwę piękną, bogatą, albo weselną i uroczystą. Pod tym względem uderza u Tintoretta niezwyczajny w odrodzeniu realizm, który nie sięga do szczegółów, do pojedyńczych postaci i twarzy, ale który zupełnie zmienił prawidło ugrupowania i kompozycyi, i który mistrzowstwo barwy na nowy kierunek zepchnął.

Uderzyła go rozmaitość oświetleń w naturze. Przypatrzył się temu, jak świat inaczej wygląda w nocy a we dnie, pod pogodnem niebem i wśród obłoków, i rad poświęcił świetlaność barw i wyrazistość konturów dla ogólnego a niezwykłego efektu, trudnego do oddania. Niemniej dbał o to, by uprzytomnić różne okoliczności, które mogły w sposób prawdopodobny zmienić pozór przedstawionej sceny, jako to stroje wschodnie, lub starożytne, wielka płaszczyzna, na której wbito krzyże i po której się grupy ludzkie gubiły, położenie słońca niskie i wyjątkowe, przyćmione przez ciemną masę ludzi i wreszcie położenie ludzkiego ciała skrócone i wyjątkowe.

Pod względem grupowania był zresztą klasyczny Tintoretto romantykiem i realistą, i rad chwytał kapryśnicę naturę na gorącym uczynku, nie dbając o to, czy zdjęta z niej podobizna uwydatni myśl obrazu, uczucie przez nie wyrażone i piękność pojedyńczych postaci. Ale to, co czynił Tintoretto bardzo umiejętnie, w sposób który świadomie dowodził wielkiej biegłości w sztuce, i tak aby pewien ulubiony efekt wyszedł na jaw, tym efektem było w rysunku skrócenie, w kolorycie uwydatnienie złotego światła wśród otaczającej ciemności. Tintoretto malował najczęściej ze świadomością jednego z tych dwu celów, i nie okupowywał go brzydotą lub dyssonansem kolorów, poświęcał jednak dlań często dodatnie piękno tak linii jak i barwy.

Tintoretto tedy stanął jeszcze u przełomu między klasycyzmem, a nową romantyczną dążnością mającą niebawem zapanować pod innem niebem. Giacobo da Ponte, czyli jak go zwykle nazywamy Bassano, przeszedł już stanowczo granicę i był romantykiem tak szczerym jakby jaki Holender siedmnastego stulecia; Tintorettowi chodziło o to, aby światło uwydatnić wśród otoczenia ciemnego, i aby ciemnością wtórować smętnemu pomysłowi, Bassano ciemność jako ciemność ukochał. Tintoretto był realistą w ugrupowaniu tylko, Bassano we wszystkiem.

Aby z ogólników przejść do przykładów, przypatrzymy się dwóm wielkim obrazom Bassana, z których jeden znajduje się w akademii sztuk pięknych, a drugi w pałacu Dożów.

Pierwszy obraz zawieszony tam, gdzie się znajduje ofiarowanie Tycyana, zdjęcie z krzyża Marconiego, oddanie pierścienia Bordonego i Baranek Boży Pordenonego, w sali zwanej salą wielkich obrazów. Przedstawia on wnętrze kościoła świętego Marka, pełne mroku i ciemności, w chwili, w której się ksiądz od wielkiego ołtarza odwraca i bogatą kapą nakrytem Cyboryum lud błogosławi. Chodziło malarzowi o oddanie owych niepewnych blasków, co się krzyżują po kościele i co ledwo dochodzą do wielkiego ołtarza, gdzie się spotykają z mdłymi promieniami woskowych świec. I to, o co mistrzowi chodziło, oddane po mistrzowsku. Kosztowne światło lśni z rzadka wśród mroków po kolumnach alabastrowych, po ornatach złotych, antipedyach bogatych, odbija się raz o czoło kapłana, i ledwo opromienia malownicze postacie Wenecyanek klęczących w malowniczych strojach ojczystych, w sukniach czarnych długich, z czarnemi na głowach zasłonami. I dziś ujrzysz u Marka scenę, którą Bassano z podziwu godną dokładnością oddał, a gdy patrzysz na obraz staje przed tobą cała poezya pstrego, dziwacznego kościoła w chwili, w której odbywa się liturgia tajemnicza i w chwili, w której nabożny lud chyli głowę przed Przenajświętszym, pogrążony w cichej modlitwie.

I drugi obraz podobnież uprzytomnia piękno to. które można i w rzeczywistości lubo z rzadka oglądać. Obraz ten, który zdobi ścianę sali „del anticolegio“ w pałacu Dożów, sąsiaduje, jakby dla żywszego kontrastu, z zupełnie klasyczną kompozycyą Tintoretta, w której trzej nadzy bogowie bujają po wielkiem płótnie. A mniej klasycznej rzeczy nad ową „Podróż Jakóba“ trudno sobie przedstawić. Najpierw nikt nie wie, dla czego rzecz ma być podróżą Jakóba, a potem ani jedności kompozycyi, ani idealizmu w postaciach się nie dopatrzysz.

Masz przed sobą step trawą zarośnięty i bezbrzeżny, a oświecony przez ukośne promienie niewidzialnego księżyca. Po tym stepie pędzą parobcy konni ogromne trzody bydła. Pewno aż step dudni od stąpania krów tych i owiec, co się chaotycznie po nim rozpędziły, pewno słychać

beczenie i nawoływanie ludzi, ot tu najbliżej dość wyraźnie widny parobek jakiś w stroju zachodniego chłopa, który z konia biczem trzaska i krzyczy. Aż woń stajni dolatuje cię z obrazu, i przypominasz sobie owe noce, któreś może spędził na stepie, sam na sam z ciemnością i bezbrzeżną naturą, i owo życie nieskończone a ciche trzód bydlęcych, i traw stepowych, co tyle niższe od naszego, a jednak tak ciche i wielkie, że malejemy mimowoli wobec niego, i patrzysz na kapryśne, fantastyczne światło księżycowe, każące się domyślać dziwów, których nie widzisz.

Bassano jednak został anomalią w Wenecyi. Lubiała ona światło i barwę, lubiała piękny, wspaniały świat cały, i wykwint i pańskość, i nie mogła przylgnąć do niewyraźnego świata, po którym światło się tylko przekrada, w którym żaden szczegół nie jest doskonale pięknym, a w którym tylko całość owiana jakąś pieszą, prostaczą poezyą.

Nie Tintoretto najgłośniej zasłynął w Wenecyi, nie za Bassanem poszła sztuka nadadryatycka. Ich wpływ miał zapanować gdzieś w dalekiej północy, a tu Paweł z Werony wziął po Tycyanie berło sztuki i poklask ludu. I on prowadził na nieklasyczne już szlaki rodaków, ale wcale nie do północnej romantyki, jedno do południowego barokizmu, od którego wszakże sam się ochronił jeszcze, należąc tylko do późnego odrodzenia, a wskazując uczniom szeroki, nowożytny i salonowy gościniec baroku.

Na jednym z sufitów pałacu Dożów zasiada Wenecya w postaci pięknej kobiety, wygorsowanej, zaczesanej wedle mody szesnastego wieku, tak, że jej złoty włos wymęczono i wykarbowano, wystrojonej w zieloną jedwabną szatę i purpurą podszyty płaszcz. Niewiasta ta ma ramiona i gors śnieżnej białości, i śmiało odrysowana tak, że zdaje się rzeczywiście nad sufitem bujać, z koroną na głowie i berłem w ręku. Pełne światło słoneczne bije na jej pełną twarzyczkę, o przecudnych rumieńcach i z lekka perkatym nosie i opromienia przejrzyste jej karnacye, jaskrawe szaty i miękkie obłoki, co się w koło kuli ziemskiej u stóp jej ścielą. Dwie damy bogato ubrane, sztucznie wyczesane i plecami do nas obrócone, klęczą u jej stóp, okazując nam bogate, połyskujące barwy jedwabnych szat i miękkie karnacye gorsu. Wszystkie te świetne panie i Wenecya i podbite u stóp jej Lombardzkie stolice myślą i o prestancyi swojej i o sukniach, jak to czynić zwykły wykwintne elegantki Wenecyi.

I takie to typy zdrowe, piękne, ludzkie, czyste i salonowe, widać na wszystkich obrazach Werończyka. Ćmią barwnemi szatami jedwabnemi i aksamitnemi i ruszają się z umiejętną gracyą, zwracając się często tyłem do widza, ugrupowane teatralnie i umiejętnie, i otoczone przez orszak małp, murzynów, charciczek i piesków bonońskich. Cały elegancki świat Wenecyi wyległ na tysiącznych płótnach z gracyą nieco wymuszoną. Wszystkie kobiety bywają pulchnemi blondynkami, mężczyźni łączą w sobie i coś z wielkiego pana, i coś z fircyka, a murzynki są tak brzydkie, jak Pan Bóg przykazał.

Na jednej ze ścian pałacu Dożów widać rycerza sędziwego w książęcym płaszczu, klęczącego wśród orszaku paziów, piesków i innych salonowych fraszek żywych. Świetna dama z kościelnym kielichem w ręku stoi przy nim i mówi do niego, a w obłokach Chrystus wyjątkowo z klasyczna przystrojony, czyli raczej na poły nagi, jawi się w orszaku skrzydlatych aniołów. Chrystus ów pokazuje się tu Doży któremuś i Wenecyi, i obraz ten może służyć za wzór mnogich innych obrazów w tymże pałacu, w którym podobne republikańskie dewocye uprzytomnione, czy to przez Werończyka, czy przez młodszego Palmę, a raz nawet przez samego Tycyana. (C. d. n.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO
z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

Długie czterdzieści i sześć lat przedziela wypadki tu opowiadane od samego opowiadania. Chociaż zdarzenia, wypadki, jakie zebrać, zestawić i jak najwierniej starałem się opisać, żywe mam w oczach, jakby one były dziełem dnia wczorajszego, jednakże pisząc bez żadnej pomocy nie mając pod ręką ani książek ani notatek, tylko pamięcią się posiłkując, być może iż w datach jakie chronologiczne popełniłem błędy; przepraszam za nie i ręczę, że wierność opowiadania cierpieć na tem nie może.

Ażeby poniższe szczegóły podać potomnej pamięci domieszczam dwa dopiski:

1) Żołnierz za W. księcia Konstantego, prócz kompletnego mundurowego przyodziewku miał na wygodę i wyżywienie, żołdu dziennego 15 gr. pol. a na ochędóstwo 1 grosz dziennie. Rząd narodowy w r. 1831 w zasadzie płacę tę utrzymał, jednakże biorąc na siebie dostarczenie żywności, wypłacał żołnierzowi dziennego żołdu 6 gr. pol. a za potrącone na żywność 9 gr. pol. żołnierz otrzymywał dziennie chleba $1\frac{1}{2}$ fnt.; mięsa $\frac{1}{2}$ fnt.; słoniny lub sadła 2 łuty; krup lub grochu 1 kwaterkę; wódki 1 półkwaterek; w dodatku sól (dawano kamienną) żywność rozdawano co dni 4 — pieniądze co dni 10.

2) Batalion miał kampanii 4, każda kampania plutonów 2 w zasadzie kompletny batalion powinien był mieć żołnierzy 850 i tak liczne bataliony wychodziły w pole w rozwiniętym froncie batalion był tak ustawiony:

Pluton 8, pluton 7, pluton 6, pluton 5, pluton 4,
voltiżerski fi- zi- li- jer-

pluton 3, pluton 2, pluton 1.
ski grenadjerski.

Z rozwiniętego frontu, do boju formowano kolumny, albo „divizyonową“, albo „do ataku“. Do rozwijania frontu, a jeszcze więcej do zwijania frontu w kolumny, jako też do formowania „przeciw kawaleryi carée, najwygodniejsze jest uformowanie piechoty w kolumny do ataku“ i tej formacyi się głównie trzymano. Kolumna batalionu do ataku tak stała:

	pluton 5.	pluton 4.	komp. 24. czyli chorąg.
Kompania 3.	„ 6.	„ 3.	kompania piechoty
	„ 7.	„ 2.	
	„ 8.	„ 1.	kompania grenadierska,

Na tyraliery zwykle wychodziły trzecie szeregi wszystkich plutonów:

pluton 7. pluton 6.

pluton 5. pluton 4.

Batalion stojący w caré przeciw kawaleryi

pluton 8. pluton 1.

pluton 2. pluton 2.

Na komendę przeciw kawaleryi formuj karé — czwarty i piąty pluton zostawały nieruchome; pierwszy i ósmy pluton robiły, lewo w tył; drugi i trzeci pluton zachodziły półplutonami w prawo; szósty i siódmy pluton zachodziły półplutonami w lewo; boczne sekcye ściany naczelnej i tylnej robiły pół obrotu w prawo i w lewo dla zamknięcia rowów i karé w półminuty uformowane.

„Gdyby każdy pojedynczy pułk działający w wojnie 1831 r. miał opisaną wiernie historyę swoją, jakiż by to był materyał do historyi tejże wojny!“ To zdanie wypowiedział mi przyjaciel mój Aleksander Hirszberg, kustosz biblioteki Ossolińskich, i te słowa jego naprowadziły mię na myśl, bym pisanem słowem opowiedział historyę 3go pułku piechoty liniowej wojska polskiego, w którym to pułku służąc naprzód w batalionie 3cim, a po awansowaniu w batalionie 1, odbyłem kompanią 1831 r. począwszy od wyjścia wojsk naszych w pole 10. lutego, aż do 15. września 1831 r. to jest do wejścia z korpusem jen. Ramorino do Galicyi.

Zanim przystąpię do zakreślonego opowiadania, pozwalam sobie zrobić wsteczne zboczenie, by nie siląc się na odźwierciedlenie wrażeń spowodowanych wypadkiem rewolucyi warszawskiej, opisać to co widziałem, czego byłem świadkiem, i co się koło mnie działo w pierwszych dniach po 29ym listopada, tudzież jak się do 3go pułku zaciągnąłem.

Rewolucya zastała mnie uczniem 6tej klasy szkoły wojewódzkiej w Lublinie; owoż to uboczne opowiadanie odnosi się do Lublina.

Jak wiadomo poniedziałek był dniem wybuchu, jeśli kto to pisanie czytać będzie, niech przebaczy, iż następne dni, nie cyframi dnia miesiąca oznaczać będę, ale po prostu nazwy dni użyję, bo mi tak owe dni tkwią w pamięci.

Otóż we wtorek wieczorem pierwsze zaniepokojenie uczyniło nieprzyjście zwykłej poczty z Warszawy, i jakieś głuche wieści, że coś nadzwyczajnego, strasznego stało się w Warszawie; ale o tem wszystkiem mało kto wiedział, a o wieściach owych mniej jeszcze mówił, bo to była rzecz bardzo niebezpieczna z jakiemkolwiek nieuważnem słówkiem się wymówić; a terroryzm policyi i żandarmeryi bezwzględny, aczkolwiek w państwie niby to konstytucyjnem tak był okropny, że każdy język na wodzy trzymać umiał, nauka ta była dziełem wychowania, a uczyć ją zaczynano wraz z pacierzem i elementarzem.

To też Moskale milczeć nas nauczyli, i powtarzam, iż we wtorek mało kto, to jest chyba starszyzna urzędowa i wojskowa coś wiedziała, a raczej domyślała. W środę wieść ta, a więcej przestrach się rozprzestrzeniał, jam się o tem, że się coś stało dowiedział po obiedzie od mego stancyjnego gospodarza, który był małym urzędnikiem trybunału. Wybiegłem na miasto, by coś więcej zachwycić; a że miałem kilku profesorów bliżej znajomych, i jednego z najwyższych urzędników trybunału, udało mi się pod warunkiem najściślejszego milczenia, i pod grozą największego niebezpieczeństwa ciężkiego odpokutowania za lekkomyślność, pozbierać wiadomości, że jakieś wielkie nieszczęście stało się w Warszawie; że młodzież akademicka i wojskowa popełniła jakiś wybryk, a ztąd wzburzenie miasta, wskutek czego pięciu generałów zabito; że wypadek ten wywołał (w Lublinie) wielkie oburzenie, i że wszyscy są zafrasowani okropnością mogących nastąpić smutnych skutków. Oczywiście, iż strach i zafraso-

wanie wzmogło się do czwartku, lecz pomimo wzburzenia umysłów, wzburzenia już w różnorakim kierunku, porządek w niczem nie był nadwerężony, wszystko szło jak zwykle; my uczniowie w szkole, urzędnicy w biurach, a wojsko po konstantynowskiej formie w pełnej paradzie zaciągało odwachy, i jak za najlepszych czasów, przed każdym wyższym oficerem do broni występowało, słowem na oko było tak, jak gdyby nic nigdy nie zaszło, lub jakby się starano nie ściągnąć gniewu za wykroczenie przez innych popełnione.

Dopiero około godz. 4ej wieczorem (znajdowałem się wówczas na placu przed urzędem municypalnym), spostrzegliśmy gościńcem od Lewartowa pędzący pocztowy wózek, a na nim ktoś siedzący, ozdobiony białemi u czapki i rękawa kokardami. Był to Koźmian wiozący do Lublina i Zamościa pierwsze rozkazy Rady administracyjnej. Gdy się zbliżył do licznie na placu wyległej publiczności, powstał, a trzymając oburącz w kierunku poziomym pałasz białemi kokardami obwieszony, wzywał, by się udano do komisyi wojewódzkiej. Gdy zamiast zbira któregośmy się obawiali, zoczyło się szczęściem promieniejące oblicze wysłańca i to nie w mundurze, wstąpiła otucha, co sił stało podążyliśmy za pocztowym wózkiem, i na placu komisyi wojewódzkiej obwieszczono urzędownie: że Moskale z Warszawy ustąpili; że rewolucya przez Warszawę przyjęta, że rada administracyjna objęła rządy królestwa, i że przez tego wysłańca pierwsze swe rozkazy na cały kraj wydane, do Lublina przysłała; a wreszcie, iż biała kokarda jest widomym znakiem przystąpienia do rewolucyi.

Jak przedtem strach, obawy i przerażenie były wielkie; jak niepewność była ciężką i posępną, tak od tej chwili, kiedy marą Moskala nie krępowana jawność, zaszłe w Warszawie wypadki publiczności objawiła, radość powszechna, radość nieopisana ogarnęła ogół. A była to radość poczciwa i święta zaiste, gdy w takim odmęcie, w takim wirze porządek publiczny, bezpieczeństwo osób i własności ani na jotę nadwerężonemi nie były.

Sklep bławatny Matuszewskiego ogłosił bezpłatne rozdawanie kokard białych, gdym się tam docisnął, zastałem kilkanaście kobiet zajętych cięciem białych sztuk różnych materyi na wstążki i przypinających do lewego rękawa kokardy. Urządzono też na prędce iluminacyę, a ludności zebrały się tłumy i spiewając „Jeszcze Polska nie zginęła" przeciągały po ulicy krakowskiej i rynku. Jeden tylko fałszywy ton dał się słyszeć: „A teraz idźmy na żydy!" (Część miasta przez żydów zamieszkała.) Wnioskodawca zapewne nie bardzo przyjaźne dla żydów prowokował intencye, ale wnet ozwały się poważne głosy, które wybryk w pierwszym pochopie wstrzymały, a posłany z odwachu patrol kilku żołnierzy okazał się niepotrzebnym. Wspomniałem tu o tem na dowód, że i wtenczas żydzi nie wiele miłości ludzkiej mieli. Przed północą wszystko jak najspokojniej do domów się rozeszło; w cichości i spokoju usnął Lublin, by na drugi dzień z rana zebrać się w kwaterze gen. Weissenhoffa, dowodzącego dywizyą ułanów. Miały tam być proklamowane owe rozkazy rady administracyjnej.

Wieczora czwartkowego, który opisałem, nie widziałem prócz odwachów i wart żadnego wojskowego, ztąd wnoszę, iż wojsko konsystujące w Lublinie, musiało być w koszarach skonsygnowane; a stała w Lublinie brygada piechoty gen. Morawskiego, 3ci i 7my pułk piechoty liniowej, i na służbie luzujący się szwadron ułanów, tym razem stał szwadron 2go pułku.

Ogłoszone rozporządzenia rady administracyjnej, o ile na mój z dzieciństwa wychodzący młodociany umysł (zaledwie 17 lat liczyłem) uczyniły wrażenie, tyczyły się organizacyi siły zbrojnej; powoływały pod broń wszystkich od 18 do 40 lat wieku, wszystkich dymisyonowanych bez ograniczenia wieku i nakazały formowanie „Gwardyi narodowej". Wojsko otrzymało rozkaz wymarszu do 48 godzin, to jest w najbliższą niedzielę 4. grudnia w Podlaskie, sztab brygady a podobno i 7go pułku w Mińsku, sztab 3go pułku w Siennicy. Ułani jeszcze tegoż dnia do pułku wymaszerowali.

Szał i uniesienie nie do opisania ogarnęły wszystkich; wszystkie stany, młodzi i starzy zarówno miłością ojczyzny i poświęceniem osób i mienia pałali; lecz głos wołający do czynu trzeźwem tchnieniem, ów pierwotny szał i uniesienie przemienił w męski zapał energii i działania; jedni żydzi nie dzielili powszechnego uczucia patryotycznego i okropnie nas zdzierali, a naprzód za czerwone czapeczki krakuski, za które w podłym gatunku po 20 złr. płacić kazali.

To też z niesłychanym pospiechem formowała się gwardya narodowa, a pod broń spieszyli ochotnicy, popisowi i dymisyonowani. Ochotnicy mieścili się po starych i nowo formujących się pułkach; popisowych przeznaczono do nowych pułków, a dymisyonowani mieli tworzyć trzecie i czwarte bataliony do starych pułków piechoty, i piąte i szóste szwadrony do starych pułków konnicy. (C. d. n.)

WSPOMNIENIA,

przez

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.*)

Gdy się przeszłość w duszę wnęci,
Lśni anielskiem w niej obliczem,
W porównaniu z snem pamięci
I nadziei sen jest niczem!

Czy zasypiasz czasem zdjęta
Magnetyczną wspomnień siłą?
I rozrywasz czasu pęta
Koło tego, co już było,
Aż ci stanie przed oczyma
Widmo tego, czego nie ma?

Czy ty czujesz, jak powoli
Świat zamglony przypomnienia
W tobie budzi się z niewoli?
Jak z chmur — mroków — z zaćmień — z cienia
Otrząsając się pomału,
Wreszcie w duchu twym się zmienia
Na miesięczny świat z kryształu?

Czy w nim widzisz, jak po ziemi
Spłotłszy serca — myśli — dłonie,
Chodzim ścieżki samotnemi
Po odludnej świata stronie?
Lub gdy przyjdzie mur rozdziału,
Jak wśród świata schniem pomału,
Jak w nas mowa obcych ludzi
Serce boli — umysł nudzi!
Jak serc naszych całość żywa,
Co w jednego przeszła ducha,
Znów na dwoje się rozrywa
I tak ranna — krwią z ran bucha?
Jak w tęsknocie — jak w żałobie
Nazad dążym więc ku sobie!

Bo jak gwiazdy — rozłączeni
My szukamy się w przestrzeni,
I na naszem dusznem niebie
Wiecznie ciążym my do siebie,
Aż spotkamy się znów razem
Gdzieś nad rzymskim ruin głazem,
Lub na gockiej gdzie wieżycy,
Na cmentarzu, lub w kaplicy —
Lub w pustyni, w górach, skałach —
Lub na morza grzmiących wałach —
Lub na cichem gdzie jeziorze.
I obwiążą nas błękity.
Zamkną w wieniec opok szczyty,
O jesiennych tęsknot porze!

Złotym wspomnień my łańcuchem
Powiązani razem z sobą!
I nam przeszłość — nie żałobą,
Ale wiecznie żywym duchem!

I ten żywy duch się nieraz,
Gdym bez Ciebie, sam wśród ludzi,
Jak stróż-anioł we mnie budzi! —
Ot, w tej chwili — ot! patrz teraz!
Złożył skrzydła mi na duszę
I w niej tęczę skrzydeł kręci!
Patrz! zapadam w sen pamięci,
I już przez sen mówić muszę...

*) Z niewydanych rękopisów — „Kroniki Rodzinnej".

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Następnego tygodnia pani Deberle oddała wizytę pani Grandjean i była dla niej serdecznie uprzejmą. Wychodząc już i stojąc na progu — rzekła:

— Pamiętaj pani, coś mi obiecała... W pierwszy dzień piękny przyjdziesz pani do ogrodu i przyprowadzisz z sobą Joannę. Jest to rozporządzenie doktora.

Helena uśmiechała się.

— Tak, tak, to już rzecz postanowiona. Proszę rachować na nas.

W trzy dni potem, w jasne popołudnie zeszła z córką. Odźwierny otworzył im drzwi przechodnie. W głębi ogrodu, w rodzaju cieplarni, z której zrobiono pawilon chiński, znalazły panią Deberle i siostrę jej, Paulinę. Obie siedziały spokojnie, ze złożonemi rękami, porzuciwszy robótki swe na stolik, przed niemi stojący.

— Ah! jakżeś pani uprzejma! — rzekła Julia. — Proszę, niech pani tu siada... Paulinko posuń stół... W ogrodzie trochę świeżo jeszcze, a szczególnie kiedy się na miejscu siedzi, i z pawilonu tego bardzo dobrze będziemy mogły uważać na dzieci... No, bawcie się, moje dzieci. Ale patrzcie, żebyście nie upadły.

Szerokie wejście do pawilonu otwarte i z każdego boku podniesiono ruchome ramy okien tak, że pawilon znajdował się na równi z ogrodem, jak namiot. Był to ogród miejski z trawnikiem pośrodku i dwoma klombami po bokach. Od ulicy Vineuse oddzielała go tylko krata; ale krzewy zasadzone koło niej tak się rozrosły, że żadne ciekawe spojrzenie nie mogło się przedrzeć z ulicy do ogrodu; powoje, bluszcze, przewier-

ścień, obwijały się o kratę, a za tą pierwszą ścianą zieloną wznosiła się druga, złożona z bzów i szczodrzenicy. W zimie nawet trwałe liście bluszczu i sploty gałęzi dostatecznie zasłaniały ogród. Ale największą ozdobę ich stanowiło kilka drzew wielkich; przepyszne wiązy, stojące w głębi, zasłaniały czarny mur sąsiedniego domu o pięciu piętrach. Dzięki im, mała ta przestrzeń, wciśnięta między sąsiednie zabudowania, miała pozór jakiegoś kącika parku; drzewa zdawały się ogromnie powiększać ten ogródeczek paryzki, który zamiatano jak salon. Między dwoma wiązami zawieszono huśtawkę; deseczka jej pozieleniała już od wilgoci.

Helena przypatrywała się ogródkowi, przechylając się, by go lepiej widzieć.

— Oh, to kąt — rzekła pani Deberle od niechcenia.—Ale w Paryżu drzewa są rzadkością... Szczęśliwy, kto może ich mieć pół tuzina na własność.

— Nie, nie, bardzo tu ładnie — szepnęła Helena. — Śliczny ogródek.

Niebo blade było dnia tego, i słońce rzucało blade płowe promienie. Prześlizgały się one powoli między gałęźmi obnażonemi z liści. Drzewa rumieniły się; delikatne pączki czerwonawo-fioletowe odbijały od szarego tła kory. Na trawniku, koło dróżek, na wierzchołki traw i kamyków padał blask, który w mgle lekkiej, ścielącej się tuż przy ziemi roztapiał się i znikał. Ani jednego kwiatka nie było jeszcze; słońce tylko na niebie głosiło nagiej ziemi, że wiosna już nadchodzi.

— Teraz tu jeszcze trochę smutno — mówiła pani Deberle. — Ale zobaczy pani w czerwcu, to będzie prawdziwe gniazdeczko. Drzewa zasłaniają nas przed sąsiadami i ich ciekawością, i jesteśmy już wtenczas zupełnie u siebie...

Tu przerwała sobie mowę — wołając:

— Lucyanie, nie ruszaj kurka!

Chłopczyna, grając rolę gospodarza, oprowadzał Joannę po ogrodzie, i stanęli właśnie przed gankiem, gdzie był zbiornik wody; Lucyan pokręcił kurek, nadstawiając buciki swoje pod wodę. Zabawkę tę lubił nadzwyczajnie. Joanna bardzo poważnie patrzała, jak sobie moczył nogi.

— Poczekaj — rzekła Paulina wstając — ja go przyprowadzę do porządku.

Julia zatrzymała ją.

— Nie, nie, z ciebie to jeszcze gorszy trzpiot jak z niego. Onegdaj, mógłby kto pomyśleć, żeście się wykąpali oboje... Dziwna rzecz, żeby tak dorosła dziewczyna nie mogła usiedzieć dwóch minut spokojnie...

I obracając się znowu — zawołała:

— Słyszysz, Lucyanie, zamknij kurek natychmiast!

Chłopiec przestraszony chciał usłuchać. Ale więcej jeszcze pokręcił kurek; woda trysnęła silnie i z takim szumem, że do reszty stracił głowę. Cofnął się, obryzgany aż po ramiona.

— Zamknij kurek natychmiast! — powtarzała matka, której krew zarumieniła policzki.

Joanna, niema dotychczas, zbliżyła się ostrożnie; Lucyan wybuchł płaczem, patrząc na tę nieznośną wodę, której się bał i której nie umiał zatrzymać. Dziewczynka ocisnęła spodniczkę koło nóg, wyciągnęła nagie rączki, by nie zamoczyć rękawów, i zamknęła kurek tak, że ani jedna kropla wody nie padła na nią. Potop ustał nagle. Lucyan, zadziwiony i przejęty szacunkiem, połknął łzy i wielkie swe oczy podniósł na panienkę.

— Na prawdę, to dziecko doprowadza mię do gniewu — rzekła pani Deberle, która znowu zbladła, padając jak gdyby od znużenia.

Helena osądziła, że powinna się wmięszać do tej sceny.

— Joanno — rzekła weź go za rękę, bawcie się przechadzając.

Joanna wzięła rękę Lucyana, i poważnie małemi krokami poczęli chodzić po dróżkach. Była daleko większa od niego, ale majestatyczna ta zabawa, zależąca na tem, że uroczyście obchodzili trawnik w około, zdawała się wielce ich oboje zajmować i nadawać niepospolite znaczenie ich osóbkom. Joanna jak prawdziwa pani spoglądała z roztargnieniem i obojętnością. Lucyan od czasu do czasu ośmielał się i rzucał okiem na towarzyszkę swoję. Nie mówili do siebie ani słowa.

— Zabawni są—szepnęła pani Deberle, znowu uśmiechnięta i spokojna.—Trzeba przyznać, że pani Joanna, to śliczne dziecko... Posłuszna, grzeczna...

— Tak, kiedy jest w obcym domu — odrzekła Helena.—I na nią nadchodzą straszne godziny. Ale, że kocha mię nadzwyczajnie, więc się stara być grzeczną, by mię nie martwić.

Rozmowa o dzieciach potoczyła się dalej. Dziewczyny prędzej niż chłopcy dojrzewają. Głupowata minka Lucyana nic jeszcze nie znaczy. Za rok, kiedy się trochę rozwinie, będzie i z niego swawolny chłopak. Po chwili, od razu przeskakując na inny przedmiot, zaczęto mówić o kobiecie, która mieszkała w małym pawilonie naprzeciw, i u której działy się rzeczy... Pani Deberle zatrzymała się — i rzekła do siostry:

— Paulinko, idź na chwilę do ogrodu.

Młoda dziewczyna wyszła spokojnie i stanęła pod drzwiami. Przyzwyczaiła się już do tego, że ją wyprawiano, jak tylko rozmowa schodziła na przedmiot nadto drażliwy, by można było mówić przed nią.

— Wczoraj, stałam w oknie — mówiła Julia, i doskonale widziałam ją... Nawet nie zapuszcza firanek... To już tak nieskromne! Dzieci mogłyby to spostrzedz.

Mówiła bardzo cicho z miną zgorszoną, ale kącikiem ust uśmiechała się jednak. Potem, podnosząc głos — rzekła:

— Paulinko, możesz wrócić.

Stojąc pod drzewami, Paulina spoglądała w górę, z miną obojętną oczekując, aż ją siostra zawołała. Wszedłszy napowrót do pawilonu, zajęła swe dawne miejsce, podczas kiedy Julia mówiła dalej, zwracając mowę do Heleny:

— A pani, czyś nigdy nic nie spostrzegła?

— Nie — odpowiedziała Helena — moje okna nie wychodzą na pawilon.

Młoda dziewczyna słuchała rozmowy tak, jak gdyby ją rozumiała, jak gdyby i dla niej przerwy żadnej nie było.

— Oh! — rzekła — patrząc jeszcze w górę przez drzwi, co tam gniazd na drzewach!

Pani Deberle od niechcenia wzięła robótkę w ręce. Robiła parę ściegów na minutę. Helena, która nie umiała siedzieć bezczynnie, prosiła o pozwolenie przyniesienia z sobą robótki na drugi raz. I trochę znudzona, obróciła się, przypatrując japońskiemu pawilonowi. Ściany jego i sufit pokryte były materyą, przetykane złotem; a na niej stado żórawi odlatujących, motyle i kwiaty o jaskrawych barwach, widoki, na których niebieskie łodzie płyną po żółtych rzekach. Dokoła krzesła i kosze do kwiatów, na ziemi cienkie maty, a na sprzętach z laku mnóstwo gracików, małych bronzowych figurek, dziwacznych zabawek o żywych, pstrych kolorach. W głębi wielka figura z porcelany, z nogami podkurczonemi, z obwisłym, nagim brzuchem, śmiała się z nadzwyczajną wesołością, za najmniejszem trąceniem.

— Nieprawdaż? jaki brzydki! — zawołała Paulina, która dostrzegła była spojrzenia Heleny.— A wiesz, siostro, że wszystko to, coś kupiła, to tandetne? Piękny Malignon nazywa japoneryę twoję „bazarem po trzynaście susów“... A prawda, spotkałam pięknego Malignon'a. Szedł z panią, oh! panią, małą Florentyną, z teatru Rozmaitości.

— Gdzież ich widziałaś! muszę się z nim podraźnić! — żywo spytała Julia.

— Na bulwarze... Czy Malignon nie ma być dzisiaj tutaj?

Ale nie otrzymała na to odpowiedzi. Dzieci znikły gdzieś, i matki oglądały się za niemi. Gdzie mogły się podziać? Zaczęto je wołać, aż naraz dwa cienkie głosiki odezwały się.

— Jesteśmy tutaj!

W istocie, na środku trawnika oboje siedzieli na trawie, na wpół ukryci za krzewem trzmieliny.

— Co tam robicie?

— Przyjechaliśmy do oberży — zawołał Lucyan. — Odpoczywamy w naszym pokoju.

Matki ubawione tą sceną, przypatrywały się jej chwilę. Joanna uprzejmie bawiła się z chłopczykiem. Ucinała trawę do koła siebie, dla przygotowania śniadania zapewne. Kawałek deski, którą znaleźli gdzieś pod ścianą, przedstawiał tłomok. Teraz rozmawiali. Joanna przejmowała się grą, z przekonaniem powtarzając, że są w Szwajcaryi, i że mają zwiedzać gleczery, co wprawiało Lucyana w osłupienie.

— Ah! otoż i on! — nagle zawołała Paulina.

Pani Deberle obróciła się i spostrzegła Malignon'a, który schodził z ganku. Zaledwie dała mu czas ukłonić się i usiąść.

— A to ślicznie! miły pan jesteś! Wszędzie rozpowiadać, że u mnie tandetne rzeczy!

— A! tak — odpowiedział spokojnie — ten salonik... Zapewne, że to jest tandeta. Nie ma tu ani jednego przedmiotu, na któryby warto było popatrzeć.

Julia do żywego doknięta była.

— Jakto, figura?

— Ależ nie, nie, wszystko to jest pospolite... Do takich rzeczy trzeba gustu. Nie chciałaś pani powierzyć mi urządzenia...

Pani Deberle mocno zarumieniona przerwała mu z istotnym gniewem.

— Pański gust, mówmy o nim! Piękny to, ten pański gust!... Widziano pana z jedną panią...

— Jaką panią? — spytał zdziwiony tak ostrym napadem.

— Piękny wybór, winszuję panu. Dziewczyna, którą cały Paryż...

Umilkła nagle, spostrzegłszy Paulinę. Zapomniała była o niej.

— Paulinko — rzekła — idź na chwilę do ogrodu.

— Oh, nie! to już nudzi nakoniec! — oświadczyła młoda dziewczyna — buntując się. Zawsze mię wyprawiają.

— Idź do ogrodu—powtórzyła Julia z większą surowością.

Paulina wyszła krzywiąc się. Wychodząc, obróciła się — i dodała:

— Spieszcie się przynajmniej.

Jak tylko już jej nie było, pani Deberle znowu napadła na Malignon'a. Jakim sposobem

człowiek, tak dystyngowany jak on, mógł publicznie spacerować z taką Florentyną? Miała przynajmniej lat czterdzieści, brzydka była jak straszydło, cała orkiestra była z nią *na ty* w czasie pierwszych przedstawień.

— Skończyliście już? — zawołała Paulina, która z miną nadąsaną przechadzała się pod drzewami. Nudzę się!

Malignon bronił się. Nie znał tej Florentyny; nigdy do niej słowa nie przemówił. Widziano go może z inną damą, towarzyszył czasem żonie jednego ze swych przyjaciół. Zresztą, któż go z nią widział? Trzeba na to dowodów, świadków.

— Paulinko — nagle spytała pani Deberle podnosząc głos — nieprawdaż, że go spotkałaś z Florencyą?

— Tak, tak — odpowiedziała młoda dziewczyna — na bulwarze, naprzeciw Bignon'a.

Pani Deberle tryumfowała, widząc zakłopotany uśmiech Malignon'a.

— Możesz wrócić, Paulinko — zawołała. Już skończono.

Malignon miał lożę na jutrzejsze przedstawienie w Folies-Dramatiques. Ofiarował ją uprzejmie, nie okazując żalu do pani Deberle; zresztą, zawsze się z sobą kłócili. Paulina zapytała, czy będzie mogła widzieć sztukę; a kiedy Malignon śmiejąc się potrząsał głową, nazwała to niedorzecznością i utrzymywała, że autorowie powinniby pisać sztuki dla młodych dziewcząt. Jej pozwalano widzieć tylko *Białą Damę* i klasyczny teatr.

Tak rozmawiając, zupełnie zapomniano o dzieciach. Nagle usłyszano straszny krzyk Lucyana.

— Co mu zrobiłaś, Joanno? — spytała Helena.

— Nic mu nie zrobiłam, mamo — odpowiedziała dziewczynka.—To on sam rzucił się na ziemię.

Rzecz się tak miała. Dzieci udały się do owych znakomitych gleczerów. Kiedy już stanęli na górach, jak utrzymywała Joanna, oboje w ówczas zaczęli bardzo wysoko podnosić w górę nogi, przeskakując niby skały. Lucyan prędko się tem zmęczył i zadyszał cały, wreszcie źle stąpił i rozciągnął się jak długi koło samej kwatery kwiatowej. Rozgniewany wówczas, z dziecinną złością wybuchł płaczem.

— Podnieś go — rzekła znowu Helena.

— Kiedy on nie chce, mamo. Tarza się.

I Joanna cofała się w tył, jak gdyby obrażona i rozgniewana widokiem tak źle wychowanego chłopczyka. Nie umiał bawić się, jeszczeby ją powalał. Miała minkę księżniczki, która się kompromituje. Pani Deberle, zniecierpliwiona krzykiem Lucyana, prosiła siostrę, by go podniosła i uspokoiła. Paulinie tego tylko trzeba było. Pobiegła, padła na ziemię obok dziecka i przez chwilę tarzała się z nim razem. Ale on wydzierał się, nie chciał by go podnoszono. Pomimo to wzięła go na ręce i dla uspokojenia — rzekła:

— Cicho bądź — krzykało! — Będziemy huśtali się.

Lucyan natychmiast umilkł; poważna minka Joanny znikła, i niezmierna radość rozjaśniała całą jej twarz. Wszyscy troje pobiegli do huśtawki. Ale Paulina sama usiadła na desce.

— Huśtajcie mnie — rzekła do dzieci.

Pchnęli deszczkę z całą siłą, na jaką zdobyć się mogły małe ich rączki. Ale dziewczyna była ciężka, i zaledwie z miejsca ją poruszyli.

— Pchnijcież — powtarzała. — O, głuptasie, nie umiecie.

Tymczasem w pawilionie pani Deberle uczuła lekki dreszcz. Znajdowała, że było trochę chłodno, pomimo pięknego słońca. Prosiła pana Malignon, by podał jej burnus z białego kaszmiru, zawieszony koło okna. Malignon powstał i włożył jej burnus na plecy. Oboje rozmawiali z sobą poufale o rzeczach, które nie zajmowały wcale Heleny. To też ta ostatnia niespokojna trochę, by Paulina niechcący nie zrobiła co złego dzieciom, zeszła do ogrodu, pozostawiwszy Julię i młodego człowieka spierających się o jakieś modne kapelusze, które szczególnie ich zachwycały.

Jak tylko Joanna ujrzała matkę, natychmiast przybiegła do niej z minką pieszczotliwą; cała jej postać była jednym wyrazem prośby.

— Oh! mamo — szeptała; — oh! mamo...

— Nie, nie — odpowiedziała Helena, która bardzo dobrze zrozumiała, o co jej chodzi. Wiesz sama, że ci to wzbronione.

Joanna lubiła niezmiernie huśtać się. Zdawało się jej wówczas, że staje się ptakiem, jak mówiła. Ten wiatr, co dmuchał jej w twarz, ten szybki lot, to bujanie tam i nazad, równe jak poruszenie skrzydłami wzbudzało w niej uczucie rozkoszy. Zdawało się jej, że leci gdzieś tam, wysoko aż w chmury. Ale kończyło się to zawsze źle. Raz zdjęto ją z huśtawki omdlałą; uczepiła się sznurów i zawisła na nich z szeroko rozwartemi oczami, z których znikł wszelki wyraz życia. Innym znowu razem spadła jak jaskółka, ugodzona ziarnkiem śrutu.

— O, mamo! — powtarzała wciąż — troszkę, tylko troszeczkę.

Dla świętego spokoju matka posadziła ją na desce. Dziecię uszczęśliwione miało nabożną minkę; a rączki jej drżały od radośnego wzruszenia. I kiedy Helena huśtała ją leciutko, ona wciąż szeptała:

— Mocniej, mocniej.

Ale matka nie słuchała. Nie puszczała sznurka z rąk. I jej policzki zarumieniły się, i sama się ożywiła; ruch, który nadawała desce, udzielał się jej samej. Zwykła powaga nikła w tej koleżeńskiej zabawie z córką.

— Dosyć — rzekła wreszcie, unosząc Joannę na rękach.

— No, to ty huśtaj się, proszę cię, huśtaj— mówiło dziecię zawieszone u jej szyi.

Szczególnie lubiła patrzeć, jak jej matka ulatywała, jak mówiła, i więcej jeszcze robiło to jej przyjemności, jak kiedy sama się huśtała. Ale matka spytała śmiejąc się, kto ją będzie huśtał, ją, co już kiedy bawiła się, to na seryo, i wznosiła się powyżej drzew. Właśnie w tej chwili ukazał się pan Rambaud, którego odźwierny przyprowadził. Pan Rambaud widział był panią Deberle u Heleny i teraz, nie znalazłszy w domu tej ostatniej, osądził, że może aż tu przyjść za nią. Pani Deberle uprzejmie go powitała, zjednana dobrodusznością zacnego człowieka. Potem wróciła do bardzo ożywionej rozmowy swej z Malignon'em.

— Nasz kochany będzie cię huśtał, nasz kochany będzie cię huśtał! — wołała Joanna, skacząc koło matki.

— Będziesz ty cicho? nie jesteśmy u siebie— rzekła Helena, przybierając minę surową.

— Mój Boże! — odezwał się p. Rambaud, jestem na rozkazy, jeżeli tylko zrobi to pani przyjemność. Kiedy się jest na wsi...

Helena dała się namówić. Będąc młodą dziewczyną, huśtała się godzinami całemi i wspomnienie tej dawnej zabawy obudzało w niej teraz głuchą chęć. Paulina, która usiadła była z Lucyanem na brzegu trawnika, wmięszała się do rozmowy z tonem usamowolnionej dorosłej panny.

— Tak, tak, pan będzie huśtał!... najprzód panią, a potem mnie. Nieprawdaż, panie? będzie mię pan huśtał?

To skłoniło ostatecznie Helenę. Młodość, która się w niej kryła pod surową, klasyczną pięknością, ujawniała się z wdziękiem i szczerością. Prostą i wesołą była jak pensyonarka. Szczególnie nie okazywała żadnej fałszywej skromności. Śmiejąc się rzekła, że nie życzy sobie pokazywać nóg i prosiła o sznurek, którym związała suknię, powyżej kostek. Potem, stojąc na deseczce, rozszerzyła ręce i trzymając się sznurów, zawołała radośnie:

— Już, panie Rambaud... Naprzód powoli!

Pan Rambaud zawiesił był kapelusz na gałęzi. Jego dobra, szeroka twarz jaśniała ojcowskim uśmiechem. Obejrzał, czy sznury mocne; popatrzał na drzewa, wreszcie pociągnął z lekka deseczkę. Helena tego dnia właśnie zdjęła była żałobę. Miała na sobie suknię popielatą, ubraną żółtemi wstęgami. I tak stojąc prosto, z wolna pomknęła tuż koło ziemi jak gdyby kołysząc się.

— Dalej, dalej! — rzekła.

Pan Rambaud wyciągnął ręce i schwyciwszy deseczkę w biegu, pchnął ją silniej. Helena podniosła się wyżej; potem jeszcze wyżej, i tak za każdym razem, ale wciąż jeszcze równo i spokojnie. Widziano ją jak stała prosto, trochę poważnie, i błyszczącemi oczami patrzała spokojnie; nozdrza jej tylko rozszerzały się trochę, jak gdyby pijąc wiatr. Ani jedna fałda u sukni nie poruszyła się. Jeden tylko z warkoczy rozwiązał się.

— Wyżej! wyżej!

Gwałtowne pchnięcie uniosło ją w górę. Leciała ku słońcu, coraz wyżej. Suknie jej sprawiały lekki wietrzyk, który wiał na ogród; przelatywała tak szybko, że nie tak wyraźnie już ją widać było. Teraz musiała się już uśmiechać, twarz miała zarumienioną i oczy świecące jak gwiazdy. Odwiązany warkocz uderzał ją po szyi. Suknia, chociaż związana, powiewała i odkrywała nogę po kostki. I łatwo było domyślić się, że pierś swobodnie oddychała, że w powietrzu tem żyła jak w ojczyźnie swojej.

— Wyżej! wyżej!

Pan Rambaud, oblany potem, z twarzą czerwoną, dobył wszystkich swych sił. Krzyk się rozległ. Helena podniosła się jeszcze.

— Oh! mamo! oh! mamo! — powtarzała Joanna w zachwycie.

Siedząc na trawniku, patrzyła na matkę, przyciskając rączki do piersi, jak gdyby sama tylko piła całe to powietrze. Oddech jej zatrzymywał się, miarowym ruchem ramion kołysała się wraz z huśtawką podnoszącą się i opadającą. I wołała wciąż:

— Mocniej! Mocniej!

Helena podnosiła się coraz wyżej. W górze nogi jej dotykały gałęzi drzew.

— Mocniej! mocniej! oh! mamo, mocniej!

Drzewa uginały się z trzaskiem, jakby pod naciskiem burzy. Suknie przelatywały wirując i klaskając, jak gdyby miotane wichrem. Kiedy na dół spadała, z rękami rozszerzonemi, z piersią naprzód wysuniętą, opuszczała trochę głowę i przez chwilę bujała; potem unoszona w górę, odpadała w tył, z odrzuconą głową, uciekając jak gdyby bez tchu, z zamkniętemi powiekami. Podnoszenie się to i opadanie sprawiało jej niewysłowioną roskosz i zawrót głowy zarazem. Wzniosłszy się

w górę, leciała do słońca, do tego bladożółtego, wiosennego słońca, którego promienie zdawały się sypać na ziemię deszcz złoty. Włosy jej kasztanowate, z odbłyskiem bursztynowym, paliły się; cała postać zdawała się rzucać płomienie; węzły z wstęgi żółtej, podobne do kwiatów ognistych, połyskiwały na białawej sukni. A dokoła wiosna budziła się, fioletowe pączki drzew delikatnie rysowały się na błękicie.

Joanna złożyła ręce. Matka ukazywała się jej jak święta, z promienistą koroną, ulatująca do nieba. I złamanym głosem szeptała jeszcze: „Oh! mamo, oh! mamo!"

Pani Deberle i Malignon zaciekawieni zbliżyli się do drzew. Malignon utrzymywał, że pani ta jest bardzo odważna. Pani Deberle z miną przestraszoną rzekła:

— Jabym tak nie mogła, to rzecz pewna; dostałabym bicia serca.

Helena usłyszała widać te słowa, bo z pomiędzy gałęzi rzuciła odpowiedź na nie:

— Oh! ja, ja mam serce mocne!... Dalej, dalejże, panie Rambaud.

W istocie, głos jej był spokojny. Zdawała się nie troszczyć wcale o tych dwóch mężczyzn, co tam stali na dole. Widocznie, nie wchodzili w rachunek. Warkocz jej rozplótł się, a sznurek obwiązujący nogi musiał się rozluźnić, bo suknie z hałasem powiewały, jak gdyby chorągiew.

Nagle zawołała:

— Dosyć, panie Rambaud, dosyć!

Doktor Deberle ukazał się właśnie na ganku. Zbliżył się, czule uścisnął żonę, podniósł Lucyana i pocałował go w czoło. Potem, uśmiechając się, patrzał na Helenę.

— Dosyć, dosyć! — wciąż wołała Helena.

— Dla czego? — zapytał. — Czy zawadzam pani?

Nie odpowiedziała nic. Znowu spoważniała. Roskołysana huśtawka nie zatrzymała się; nadanym sobie ruchem wciąż jeszcze bardzo wysoko podnosiła Helenę. Doktor, zadziwiony i zachwycony, podziwiał ją; wspaniała postać, wysoka i kształtna jak starożytny posąg, kołysała się lekko, miękko, przy świetle wiosennego słońca. Helena zdawała się być rozdrażniona i nagle zeskoczyła.

— Poczekaj! poczekaj! — zawołali wszyscy.

Helena głucho jęknęła. Upadła na żwir drogi i nie mogła podnieść się.

— Mój Boże! co za nieostrożność! — rzekł doktor z bardzo bladą twarzą.

Wszyscy pospieszyli do niej. Joanna tak mocno płakała, że pan Rambaud sam omdlewający prawie, musiał wziąć ją na ręce. Doktor tymczasem żywo badał Helenę.

— Prawą nogą — nieprawda?... Nie może pani stanąć?

I kiedy ogłuszona jeszcze upadkiem, nie odpowiedziała, pytał znowu:

— Bardzo boli?

— Bardzo, tam, w kolanie — odrzekła z trudnością.

Doktor posłał żonę po apteczkę i bandaże... I powtarzał:

— Trzeba zobaczyć, trzeba zobaczyć... Nic niebezpiecznego zapewne.

I ukląkł na zwirze. Helena patrzyła na to milcząc. Ale, kiedy posunął ręce naprzód, podniosła się od razu i przycisnęła suknię do nóg.

— Nic, nic — szepnęła.

— Ależ, rzekł, trzeba przecie zobaczyć...

Lekko zadrżała i odpowiedziała cichszym głosem:

— Ja nie chcę... To nic.

— Spojrzał na nią, zdziwiony najprzód. Różowa łuna oblała jej szyję. Oczy ich spotkały się i zdawały wzajemnie czytać w głębi serc. I on wówczas zmięszał się, powoli podniósł z ziemi i stał koło niej, nie żądając już, by pozwoliła oglądnąć chorą nogę.

Helena dała znak panu Rambaud, by zbliżył się do niej i szepnęła mu na ucho:

— Pójdź pan do doktora Bodin i powiedz mu, co mi się stało.

W dziesięć minut później doktor Bodin przybył. Helena z nadludzkiem męstwem podniosła się i opierając na nim i na panu Rambaud, wróciła do siebie. Joanna we łzach cała, szła za nimi.

— Czekam na pana — rzekł doktor Deberle do kolegi swego. — Przyjdź uspokoić nas.

W ogrodzie żywo rozmawiano. Malignon utrzymywał, że kobiety dziwne czasem miewają pomysły. Co u dyabła uroiło się tej pani, żeby tak skakać. Paulina zagniewana, że wypadek ten pozbawił ją przyjemności, utrzymywała, że nieroztropnie jest, tak wysoko huśtać się. Doktor nic nie mówił i zdawał się być stroskany.

— Nic ważnego — rzekł doktor Bodin wchodząc, zwichnięcie, nic więcej... Ale przynajmniej parę tygodni będzie musiała leżeć.

Pan Deberle przyjaźnie uderzył po ramieniu Malignon'a. Prosił, by żona wróciła do pokoju, bo w istocie trochę było chłodno. I wziąwszy na ręce Łucyana, sam go zaniósł, okrywając pocałunkami. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 25. lipca.

(W.) Ze wszystkich stron rozległego kraju galicyjskiego dochodzą nas wieści o nieustannych deszczach i wielkich apetytach, jakie podczas tych dni przedpotopowych panują. My tu we Lwowie mamy jednych i drugich podostatkiem, mówiąc o zwykłych śmiertelnikach podlegających powszechnym prawom konstytucyjnym. Inna rzecz ma się z apetytem rządowo-policyjnym, — ten coraz bardziej szwankuje, albowiem nie mogąc nietylko strawić, ale nawet połknąć p. Agatona Gillera — skazał go na tryumfalną peregrynacyą do Szwajcaryi. O ile słyszeliśmy, Kraków jeszcze więcej popsuł sobie żołądek i zamyśla toż samo zrobić z redaktorem *Harapa*. Szczęśliwy ten pan Wołowski, przynajmniej jego humorystyczny organ doczekał się zasłużonego uznania, jeżeli staje się groźnym nawet dla takiego prezydenta c. k. głównego miasta Krakowa..

Za to apetyt artystów rozbitej sceny lwowskiej niezmiernie wzrasta, a strawiwszy wyborne powodzenie dwóch wyprawionych dla siebie festynów, zapowiada trzeci ale już z psimi figlami..... przepraszam z wyścigami. Dalibóg prawda mamy obiecane tego rodzaju gonitwy, do których już otwartą jest lista psich zapisów, i jesteśmy przekonani kandydatów do biegania i kandydatów do patrzenia stawi się dosyć w oznaczonym dniu popisu. Już to trzeba przyznać artystom pewien spryt i znajomość gustu publiczności lwowskiej, jeżeli nie mogąc zwabić ją do teatru na przedstawienia komedyi ludzkich, pociągnie na festyn z koniem, z krową, a jak obecnie z psimi wyścigami.

W odległym Sączu walne Zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego ukończyło już poważne i tyle dla szkolnictwa naszego użyteczne prace. Przeszło czterysta członków wzięło w nich udział, a gościnne miasto potrafiło ich po bratersku przyjąć i przez kilka dni ugościć. Z całego toku obrad prowadzonych z niezmordowaną sumiennością, mamy do zanotowania dwie ważne sprawy dotyczące naszego systemu wychowawczego, które zgromadzenie stanowczo rozstrzygnęło, mianowicie: nie przyznano użyteczności wielkiej metodzie nauczania zwanej freblowską, i zdecydowano, że dotychczasowy rozdział szkół średnich na gimnazya filologiczne i szkoły realne szkodliwym jest dla sprawy edukacyjnej młodzieży naszej Jednej i drugiej opinii, wyrażonej przez szanowne zgromadzenie, tylko przyklasnąć możemy. Freblowska metoda zaprzątania umysłu dziecka drobnostkami, być może dobrą jest dla Niemców, gdzie idzie o stworzenie wybornych kółek roboczych w machinie ich społecznej, lecz dzieci nasze z natury posiadające już wyższy stopień inteligencyi potrzebują więcej samodzielnego rozwijania władz umysłowych, które tylko poczciwa matka dostrzedz i w odpowiednim kierunku prowadzić potrafi. Dzięki Bogu, nie życzymy sobie, aby nas zamieniano w funkcyonujące maszyny i stawiano w jeden szereg pod linią niby żołnierzy z powszechnego powołania, dla tego podziwiamy odwagę Towarzystwa Pedagogicznego, że potępiło odważnie systemat dążący do zabijania wszelkiej indywidualności w dziecięciu na korzyść ogółu....

Druga sprawa rozdziału specyalnego kształcenia przyszłych obywateli, również dla takiego kraju jak Galicya wiele szkody przynosi. Społeczeństwa naszego nie można mierzyć takim cyrklem jak np. Niemców lub Francuzów. My chcielibyśmy dzieci nasze widzieć przedewszystkiem ludźmi wykształconymi w ogóle a potem dopiero inżynierami, technikami, doktorami, prawnikami lub artystami. System nakładający już w dzieciństwie na każdego piętno jego przyszłego zawodu, najczęściej wytwarza dobrze grającą katarynkę, ale nie ludzi mogących brać udział w publicznych sprawach krajowych, ludzi, dla których zakres pracy nie może być zamkniętym w ciasnych granicach specyalności, po za którą panuje zwykle ignorancya wszystkiego. Nabywszy ogólnych wiadomości w praktycznem życiu człowieka potrzebnych, niech młodzieniec taki obiera sobie zawód podług upodobania, ale skazywać go od razu od pierwszej klasy na ten a nie inny zawód, jest pewną nielogicznością edukacyjną, którą jeżeli Rada szkolna zechce usunąć, wielkie odda usługi krajowi.

Jako nowość wielce użyteczną dla rolników naszych zanotować tu musimy ustanowienie w Dukli, w Tarnowie, w Krakowie, w Przemyślu, Lwowie i Tarnopolu, tak zwanych stacyi meteorologicznych, które dostarczać będą rolnikom za bardzo małą opłatą wiadomości o stanie powietrza z różnych stron kraju. O stacyach tych, których funkcyonowanie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej oddaje wielkie usługi rolnictwu, pomówimy obszerniej, tu podajemy tylko fakt, że stacye funkcyonować będą od 1 kwietnia do 1 października każdego roku i że opłata za dostarczanie buletynów o stanie powietrza przyjmowaną jest albo za pojedyncze depesze lub w sposobie ambonamentu na miesiąc albo cały sezon roczny.

* * *

(A.) Dzienniki podały już wiadomość o usiłowaniach p. Zyblikiewicza burmistrza krakowskiego, czynionych w celu wydalenia z Krakowa p. Wołowskiego redaktora *Harapa*.

Jest to sprawa osobista między tymi panami. Pan Wołowski krytykując w *Harapie* publiczną działalność p. Zyblikiewicza dotknął także i jego stosunków prywatnych, nie dziwilibyśmy się gdyby p. Zyblikiewicz szukał sobie satysfakcyi jako pokrzywdzony, ale p. Zyblikiewicz zamiast osobiście upomnieć się o krzywdę mu wyrządzoną nadużył swego charakteru publicznego i jako burmistrz ściga p. Wołowskiego jako emigranta. Panu Wołowskiemu wolno było krytykować każdy krok burmistrza i krytykując spełniał tylko swój obowiązek, którego się podjął obejmując redakcyą, więc burmistrz nie może mieć żadnej urazy do p. Wołowskiego, tylko urazę może mieć p. Zyblikiewicz jako prywatna osoba. Pan Zyblikiewicz prywatnie może się rozprawić z p. Wołowskim jako takim, ale nie ma prawa naruszać jego charakteru narodowego jako emigranta, korzystając, że p. Wołowski nie posiada jeszcze obywatelstwa austryackiego. Wystąpienie p. Z. przeciw p. W. jako emigrantowi jest oburzającem i piętnuje p. Z. jako złego Polaka, wystąpienie zaś to jego jako burmistrza jest nadto nadużyciem władzy i spodziewamy się że po tym wypadku rada miejska krakowska będzie wiedziała jak sobie ma postąpić z p. Zyblikiewiczem.

Już to co do urzędowania p. Zyblikiewicza, to nie pierwszy raz widzimy jak on nie rozumie swoich obowiązków i jak nadużywa władzy. Niedawno temu wskutek bankructwa p. Dygasińskiego księgarnia jego przeszła na własność p. Kazimierza Bartoszewicza, syna znakomitego historyka Juliana, i wydawcy dzieł ojca. Według praw austryackich ścieśniających wolność handlu księgarskiego p. Bartoszewicz nie mógł otworzyć księgarni nie uzyskawszy osobnej koncesyi na swoje imię. Dla uzyskania zaś koncesyi przeszkodził mu p. Zyblikiewicz burmistrz, motywując swoją odmowę tem, że w Krakowie jest za dużo księgarń (aż trzy), a na sprzedaż wódki codzień wydaje p. Zyblikiewicz konsensa, uważa widać że szynkowni jest za mało w Krakowie i że te są potrzebniejsze. W ten sposób zmarniała jedna z najlepiej zaopatrzonych księgarń, i wierzyciele jej zostali poszkodowani i klienci doznali zawodu. P. Bartoszewicz bowiem obejmując księgarnię, chciał zaspokoić wszystkich wierzycieli i dopełnić wszystkich zobowiązań p. Dygasińskiego. Z tem wszystkiem jednak otrzymaliśmy wiadomość o otworzeniu w Krakowie nowej księgarni przez żydów, którzy czynność swoją rozpoczęli rozesłaniem okólników *niemieckich*, może ten ostatni wzgląd posłużył im, że nie otrzymali odmownej odpowiedzi od p. burmistrza krakowskiego.

* * *

(S.) Zdawało się, że z końcem wojny będzie pokój. Krzyczano wiwat na kongresie a jakiś profesor niemiecki uczcił nawet ten berliński pokój wierszem łacińskim zparafrazowanym ze znanej piosnki studenckiej, który brzmi jak następuje:

GAUDEAMUS CONGRESSIBILI

Gaudeamus igitur
Socii congressus,
Post dolores bellicosos,
Post labores gloriosos,
Nobis fit decessus.

Ubi sunt, qui ante nos
Quondam consedere.
Viennenses, Parisienses
Tot per annos, tot per menses
Frustra decidere.

Mundus heu! vul decipi;
Sed non decipiatur,
Non plus ultra inter gentes
Litigantes et frementes
Manus conferatur.

Vivat pax! et comitent
Dii nunc congressum,
Ceu Deus ex machina
Ipsa venit Cypria
Roborans successum.

Pereat discordia!
Vincat semper litem
Proxenetae probitas
Fides, spes et charitas,
Gaudeamus item!

Z tem wszystkiem jednak ten pokój nie wiele lepszy od wojny, bo żadne państwo się nie rozbraja, utrzymanie milionowych armii wymagać będzie jak dotychczas olbrzymich podatków, a zubożona ludność nie będzie mogła pomyśleć o nowych szkołach i podniesieniu oświaty.

Oto i lwowska rada miejska uchwaliła pomieścić wojska zbierające się we Lwowie na manewra w gmachach szkolnych, przez co szkoły będą zamknięte. Jakkolwiek bolejemy nad tym faktem, że nauka musi być przerwaną a szkoły pozamykane dla manewrów i to w czasie pokojowym, nie mamy jednak za złe radzie miejskiej, że w ten sposób obmyśliła pomieszczenie dla wojska, gdy nie mogła w inny odpowiedniejszy, byłoby bowiem gorzej gdyby ścieśniono wszystkich mieszkańców miasta, rozlokowując u nich żołnierzy. Byłoby jednak lepiej aby państwo samo obmyśliło pomieszczenie dla wojska, a może doczekamy się czasów, że dzisiejsze koszary staną się niepotrzebnemi dla wojska i będą zamienione na szkoły.

Nie ma to jak Stany Zjednoczone Ameryki, gdzie 40.000 wojska wystarcza i na utrzymanie spokoju w kraju i na wojnę z dzikimi ludami i na reprezentacyą najpotężniejszego mocarstwa w świecie. Ale bo tam każdy obywatel gotów jest bronić swobód obywatelskich i niepodległości państwa.

* * *

(R.) Pan Agaton Giller, członek rządu narodowego z r. 1863, w czasie swego pobytu we Lwowie od r. 1870 współpracownik *Gazety Narodowej*, dla niewiadomych powodów został wydalony z ojczyzny. Nie pierwszy to raz go spotyka, już bowiem w r. 1848 pan Agenor Gołuchowski oddał go był w ręce zbirów moskiewskich, którzy zesłali go na Syberyą.

Nie będziemy ronić łez krokodylich nad tym wypadkiem, nie jest on odosobnionym, tysiące poprzedziło p. Gillera i tysiące pójdą temi ślady. Dość być Polakiem, aby nie mieć przytułku na świecie. Galicya nie otworzyła ramion dla braci z pod innych zaborów i tylko ich toleruje do pewnego czasu. Przedstawiciele Galicyi ani sami nie uczuli ciążącego na nich obowiązku zażądać obywatelstwa dla emigracyi, ani byli przez wyborców do tego zniewoleni.

Od pana Gillera otrzymaliśmy list następujący:

„Nie mogąc w inny sposób wyrazić uczuć, jakiemi mnie przejęło ukazane mi współczucie przez mieszkańców Lwowa, przesyłam te słów kilka podziękowania tym wszystkim, którzy zebrali się dla pożegnania mnie na dworcu kolei żelaznej dnia 21. lipca r. b.

Bolesna chwila przymusowego wyjazdu z ziemi ojczystej na nowe wygnanie, dzięki wam zamieniła się na wspomnienie, które koić będzie tęsknotę tułacza i wzmacniać jego siły na obcych drogach. Wzbogacony wspomnieniem tak żywego współczucia moich ziomków, nie widzę innego sposobu wykazania mojej dla nich wdzięczności jak powtórzeniem ślubu wiernego aż do zgonu wytrwania w pracy dla Polski, w tej pracy, która aczkolwiek sprowadza prześladowanie, wynagradzaną przecież bywa uznaniem i współczuciem szlachetnego narodu.

W wagonie 22. lipca 1878 r.

Agaton Giller.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Przekład pracy Spencera „O wychowaniu“ nabył już w rękopisie jeden z wydawców warszawskich i wkrótce ogłosi ją drukiem. Przekładu dokonał kandydat praw, p. Michał Siemiradzki.

*** P. Zygmunt Librowicz, autor „Monografii pocałunku“ i „Wrażeń kapociarza“, zajęty jest obecnie ukończeniem nowej swej pracy p. t. „Studyum nad żydówkami“; p. Librowicz zamierza studyum swe odczytać publicznie w Warszawie przyszłej zimy.

*** P. Krakowski, urzędnik banku handlowego w Warszawie, otrzymał premium konkursowe wyznaczone przez szkołę handlowę, za napisanie najlepszego „Przewodnika polskiej korespondencyi handlowej“.

*** W ostatnim numerze „Tygodnika powszechnego“ pomieszczony został portret przedwcześnie zgasłego, niepospolitego poety Paulina Stachurskiego (Święcickiego).

*** „Biesiada“ podała portret Estreichera.

*** „Pocałunek“, znakomity dramat węgierski Docsy'ego, przełożony wierszem białym przez artystę dramatycznego Podwyszyńskiego, ukaże się w jednem z pism tygodniowych.

*** Nową powieść p. Stanisława Grudzińskiego pod tytułem „Łokciem i miarką“ zamieszcza dwutygodnik „Niwa“.

*** Wkrótce opuści prasę pięcioaktowa komedya „Sprzymierzeńcy“, napisana oryginalnie przez pana Bronisława Grabowskiego.

*** Ciekawe studyum pana Seweryna Smolikowskiego pt. „Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech“ ukończone zostało w „Bibliotece warszawskiej.

*** Wyszła w tych dniach z pod prasy powieść pani Matyldy Meyersonowej, pt. „Z ciasnej sfery“, drukowana wprzód w *Izraelicie*.

Jest to wierny obraz z życia żydowskiej części naszego społeczeństwa skreślony piórem zdolnem, już nawet wprawnem a przedewszystkiem bardzo ciepłem.

*** Ukazał się już z druku tom pierwszy „Wspomnień z ostatnich podróży“ dr. Teodora Triplina.

Autor objął tu między innemi: morze Czarne, Warnę, Bosfor, Konstantynopol, Dardanelle, Smyrnę, Efez, Rodos, Cypr, Beirut, Karmel i Jerozolimę.

*** Przybyć ma Warszawie nowe o wielce postępowym programie pismo tygodniowe bez illustracyi.

Będzie ono miało zakres naukowo-społeczno-literacki.

*** P. Michał Girdwojń, znakomity nasz ichtyolog, mianowany został członkiem czynnym paryskiej akademii umiejętności.

*** „Gazeta Lubelska zacznie wkrótce wychodzić codziennie.

*** Odrodzonego pod redakcyą p. Mirosława Dobrzańskiego *Tygodnia* piotrkowskiego wyszedł już numer pierwszy.

*** Zaczął wychodzić we Lwowie pn. *Praca*,

dwutygodnik poświęcony sprawom drukarskim. Jestto dalszy ciąg byłego czasopisma „Czcionka.“ Przedpłata kwartalna 75 ct.

⁂ Wydział historyczno-filozoficzny Krakowskiej Akad. Um. odbył w dniu 10 b. m. posiedzenie miesięczne, na którem prof. dr. Zakrzewski czytał jeden z dalszych ustępów swojej pracy: „O bezkrólewiu po ucieczce Henryka“ i przedstawił na tle ówczesnych stosunków Polski do Włoch kandydaturę księcia Alfonsa d'Este.

⁂ P. Kazimierz Ostrowski złożył na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych kilka prac nowych.

Między innemi widzimy tam dwa portrety Matejki i Kraszewskiego, wykute z kararyjskiego marmuru.

Portret Kraszewskiego możnaby nazwać „jubileuszowym,“ nosi bowiem napis: „50 lat pracy dla dobra i chwały kraju.“

Rzeczy te mają na sobie piętno prawdziwego talentu.

⁂ Andriolli puszcza się na wycieczkę po kraju! Znakomity nasz rysownik zamierza niewyczerpanym swym ołówkiem odtworzyć pamiątki historyczne, miejscowości przez naturę hojnie uposażone lub obfitujące w rzeczy rzadsze, gdzieindziej niespotykane.

Zaczyna od nowego Miasta i jego okolic.

Do rysunków dołączać będzie tekst własny.

Pięknemu zamiarowi wróżyć można szczere powodzenie.

⁂ Czytamy w „Debatach:“ Panie redaktorze! Jeden z koryfeuszów tegoczesnej sztuki polskiej, Józef Brandt, wystawił na polu Marsowem obraz, o którym krytyka uporczywie utrzymuje, że przedmiot jest ze wschodu wzięty. Zarzucają artyście, że nie oddał należycie kolorytu nieba algierskiego, drudzy zaś, że w przedstawieniu osób odstąpił od typu perskiego. Otóż nie miał Brandt na myśli ani Persyi, ani pustyni Sahary; nie natchnął go ani szach perski, ani bej tunetański. Przedstawił on niebo Ukrainy, a na stepie w pole wyruszających kozaków w siedmnastym wieku, śpiewających pieśń bojową. Wypada mi jeszcze dodać, że krytycy stawiają go w rzędzie malarzy Niemców, pomimo że jest Polakiem.

⁂ W drukarni A. Reiffa na placu Collège de France l. 9. wyszedł w języku polskim przewodnik po Paryżu i jego okolicach z uwzględnieniem Wystawy powszechnej, ułożony przez pp. M. Horodyńskiego i A. Reiffa.

Przewodnik ten opisuje bardzo starannie pomniki Paryża, podaje plany Wystawy i jest książką prawdziwej wartości. Cena jej wynosi 3 franki.

⁂ Zamierzony i zapowiedziany już przyjazd Straussa do Warszawy na teraz nie przyjdzie do skutku. Wiedeński „Król walców“ jak się dowiadujemy, przebywa w Paryżu, gdzie spędza miodowe miesiące z nowo zaślubioną małżonką.

⁂ Akademia nauk moralnych i politycznych w Paryżu dnia 7. lipca przystąpiła do wyboru trzech członków w miejsce zmarłych, pana Salette, margr. d'Audifret i Thiers'a. Następcą tego ostatniego 21 głosami (z 31) uznało Jerzego Picot, twórcę cennej „Historyi stanów generalnych“, po której ma niebawem się ukazać: „Historya parlamentu paryskiego“, w części akademii przedstawiona. W miejsce p. d'Audiffret 20 głosami (gdyż 9 odpadło na rzecz Maurycego Blocka) obrany został Paweł Leroy-Beaulieu, znany ekonomista narodowy z Journal des Débats, wydawca „Ekonomisty“, zięć Michała Chevaliera, który mając lat 35 do instytutu wchodzi, przyczem występuje z kandydaturą do izby deputowanych. Na następcę pana Salette nareszcie powołano 20 głosami radcę najwyższego sądu p. Dareste, autora dzieła pt.: „Code des pensions civiles“, studyów o sporach administracyjnych we Francyi, tudzież: Sprawiedliwości administracyjnej, nakoniec, rozprawy o cywilnych obronach Demostenesa, współzałożyciela Przeglądu historycznego prawa francuskiego i zagranicznego.

⁂ Znany poeta austryacki Bauernfeld w dowcipnych rymach pt. „Zahme Xenien“ opiewa udział w kongresie berlińskim swojej ojczyzny. Ma się rozumieć, że temat nastręcza szerokie pole do ironii. Najsilniej jednakże akcentuje satyryk tę okoliczność, że Austrya, która niedawno straciła Lombardyą dostanie teraz w zamian za to Bośnię:

Schweine statt Pomeranzen
Ist doch ein Zuwachs im Ganzen!

⁂ We Francyi zmarł jeden z przywódców partyi republikańskiej, b. deputowany Jules Barni. Był to człowiek gruntownych zasad. Większą część swego życia poświęcił uniwersytetowi. Podczas zamachu 2. grudnia był profesorem filozofii w Rouen.

Odmówił przysięgi Napoleonowi i musiał się wynieść do Szwajcaryi. Tu oddawał się nauczaniu. R. 1861 został profesorem filozofii i historyi w akademii genewskiej. Jako pisarz przełożył na język francuski Kanta i Fichtego. Był jednym z najczynniejszych współpracowników wydawanego po r. 1848 przeglądu *Liberté de penser.* Wiele jego odczytów, jak np. o Napoleonie I, o Thiersie, wyszło w osobnych książkach. Barni zmarł w depart. Somme mając lat 60.

Ofiary.

⁂ Zmarły w Kazaniu doktor medycyny Żukowski, zapisał prawie połowę swego majątku na korzyść niezamożnych studentów warszawskiego cesarskiego uniwersytetu; egzekutorowie testamentu nadesłali już do banku polskiego dwanaście tysięcy rubli, z której to sumy utworzonem zostanie stypendyum imienia Żukowskich.

Wystawy.

⁂ Jedno z pism francuskich podaje statystykę wystaw powszechnych. Pierwsza wystawa urządzoną była w Paryżu w 1798 r. Wkrótce podobne wystawy zaczęto urządzać i w innych państwach: 1820 r. w Gandawie w Belgii, 1827 r. w Berlinie, 1830 w Lipsku, 1835 r. w Wiedniu, w 1843 r. Londynie. Pierwsza wystawa powszechna, we właściwem tego słowa znaczeniu, urządzona była w Londynie 1851 r. następnie, w Paryżu w 1855 r. w Londynie w 1862 r., w Paryżu w 1867 r., w Wiedniu 1873 r. w Filadelfii 1876 r. i nareszcie w bieżącym roku w Paryżu. W roku 1880 odbędzie się wystawa powszechna w Melbourne.

Wiadomości ekonomiczne.

⁂ W gubernii lubelskiej w ciągu ostatnich lat dziesięciu włościanie nabyli od obywateli ziemskich około 20,985 morgów ziemi, z których większa część kupiona, reszta zaś wymieniona na serwituty.

⁂ W powiecie Szawelskim, gubernii Kowieńskiej w mieście Retowie, staraniem książąt Ogińskich, odbędzie się wystawa rolnicza w d. 10, 11, 12 i 13 października rb. Dzięki niezmordowanej pracy książąt Ogińskich na polu postępu rolniczego i łączności obywatelskiej, obudził się w tej okolicy duch postępu i solidarności. Zbawienne wpływy wystaw rolniczych na Żmudzi są widoczne.

Nekrologia.

† Kazimierz Bujnicki, którego ostatnia praca literacka właśnie co ukazała się, dokonał żywota w majętności swojej Dagda w Inflanciech, w powiecie dynaburskim, a to dnia 14go b. m., przeżywszy lat 92.

Kazimierz Bujnicki urodził się r. 1788 w Inflanciech, a odbywszy nauki w Krasławiu, już w r. 1811 wstąpił do służby publicznej, licząc lat 25. Piastował on aż do r. 1838 urząd podkomorzego, to znowu w dwóch powiatach (rzeczyckim i dynaborskim) dwukrotnie zaufaniem współobywateli na godność marszałka szlachty powoływany bywał, aż w następnych latach mianowano go honorowym kuratorem szkół powiatu rzeczyckiego i prezesem tak zwanego sądu sumiennego.

Obok tej pracy w stosunkach obywatelskich, pisał i tworzył zmarły, poświęcając się poezyi i powieściopisarstwu, w której to pracy mimo sędziwego wieku aż do lat ostatnich nie ustawał, ile tylko siły pozwalały. Oprócz różnych prac po czasopismach, drukowanych różnemi czasy, wydał:

„Wędrówki po małych drogach,“ Wilno 1841, tomów 2. „Nowa wędrówka,“ tamże 1852, tomów 2. „Siostra Gertruda,“ powieść wierszem, tamże, r. 1842. „Rubon,“ pismo zbiorowe poświęcone pożytecznej rozrywce, Wilno, 1842—1845, tomów 6, i 1849 tom 9 i 10. Zbiór ten prócz obszernej powieści samego wydawcy pt. „Pamiętniki X. Jordana“ ciągnącej się przez wszystkie sześć tomów, tudzież rozprawy „Mahomet i Koran“ (wyjątek z niewydanych studyów historycznych i literackich), ustępów z „Nowej wędrówki“ po małych drogach, — zawiera artykuły innych autorów. „Moje przygody“ wierszem i „Gieron“ powieść rycerska z czasów Arturowych, wierszem, obie drukował Bujnicki w „Atheneum“ — dalej „Stanowisko poety“ w „Roczniku literackim“ B. Podberskiego 1841 — „Sejmiki powiatowe“ wyjątek z tragedyi wierszem w rękopiśmie, w „Ondynie“ wydanej przez X. Wolfanga (Grodno 1844). Rozbiór tragedyi „Don-Karlos“ w „Pielgrzymie“ wydawanym przez E. Ziemęcką 1844 r.; — rozbiór dzieła: „Rozprawy o języku polskim“ przez J. Deszkiewicza w „Bibliotece Warszawskiej“ 1844; „Joanna d'Arc Dziewica Orleańska,“ wyjątek ze studyów literackich i artystycznych w „Atheneum“ r. 1844; „Kilka słów o śmieszności w obrazach obyczajowych“ w „Tygodniku Petersburskim“ 1841 r.; „Stara panna“ powieść; „Biurko“, powieść, 1872, i „Komedye wierszem i prozą.“

† Donoszą z Paryża, że tam zmarł w przeszłym tygodniu generał Tomasz Konarski. Był to już ostatni na wychodźtwie generał z 1831 roku, z całego szeregu piastujących tę godność w ówczesnej kampanii, żyje już tylko jeden gen. Chłapowski w Poznańskiem. Sp. Konarski urodził się w Krakowskiem, w 1790 roku; chociaż pochodził z dawnej senatorskiej rodziny, ojciec jego szczupłe już posiadał mienie i dla tego syna na wychowanie oddał do Lwowa krewnemu swojemu, wówczas kanonikowi archikatedry tamecznej. W 1807 r. młody Konarski znalazł się w Warszawie i wszedł do formowanej przez Włodzimierza Potockiego bateryi artyleryi konnej. Wkrótce też ścisła przyjaźń połączyła go z pułkownikiem. Pierwszy chrzest ognia otrzymał pod Raszynem i aż do końca ówczesnej kampanii był czynnym. W 1812 r. walczy ze swoją bateryą pod Smoleńskiem, Możajskiem, w Kremlinie, później pod Czyrchowem i Borysowem, czyli w słynnej przeprawie przez Berezynę. Wróciwszy do Warszawy, tam się nie zatrzymał, a pod gen. Dąbrowskim potykał się pod Kaliszem i pod Lipskiem, i otrzymał krzyż legii honorowej. Przez całą kampanią 1814 roku był czynnym. Po 1815 r. w nowo organizowanem wojsku polskiem podniesionym został na stopień majora i podpułkownika i dowodził bateryą artyleryi. W 1831 r. pod Białołęką, Wawrem, Grochowem ciągle był w ogniu; pod Ostrołęką widziano go konno przebiegającego szeregi walczących z przestrzeloną na wylot czapką. Po tej bitwie mianowany generałem, dowodził brygadą jazdy, z którą walczył pod Rogóźnicą i wszedł do Galicyi razem z korpusem Ramoriny. Dostawszy się do Francyi, większą część spędził w Auxerre, gdzie się dwojga doczekał dzieci, a wielka zacność życia ogólny zaskarbił szacunek. Otrzymawszy emeryturę z zapisu ś. p Pelagii Russanowskiej przeniósł się do Paryża i osiadł w domu weteranów św. Kazimierza, którego prawdziwą był ozdobą. Pełen sił i czerstwości, dawnych kolegów piechotą zwykle w odległych miasta dzielnicach odwiedzał, a wszędzie bywał najmilszym gościem. Słuch miał przytępiony, ale pamięć wyborną, przytomność i pogodę umysłu zadziwiającą. Dnia 1. lipca wyjechał na dni kilkanaście do Auxerre, dla odwiedzenia dawnych przyjaciół i tam prawie nagle, bo po dwóch zaledwo godzinach słabości zmarł, dnia 6. lipca, licząc lat 88.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Czytamy w *Nowinach.*

„W chwili, gdy Ameryka zajmuje się swemi telefonami, fonografami, mikrofonami i kto tam wie, jakiemi jeszcze wynalazkami, u nas na porządku dziennym stoją *ejrefy* czyli tak zwane telegrafy żydowskie, tj. owe druty, które żydzi zaciągają na słupach w około miasteczek, a które w ostatnich czasach narobiły tyle wrzawy i gdzieniegdzie powiodły nawet do zaburzeń. Zresztą nie ma się czemu dziwić — i owe telegrafy żydowskie bowiem są wynalazkiem bardzo dowcipnym, bo posłuchajcie tylko. Przykaz o święceniu siódmego dnia tygodnia jest bardzo zbawiennym, a wartości jego nikt lepiej ocenić nie może niż ci, co siedm dni tygodniowo pracować muszą. Ale ów nieszczęsny formalizm, który najpiękniejsze i najzbawienniejsze dla człowieka przepisy religijne umie zamieniać w męczarnię, wywołał przesadne święcenie soboty przez żydów. Ponieważ wszelka praca jest w ten dzień zakazaną, żydzi przeto wystrzegają się noszenia po za domem najdrobniejszych nawet ciężarków, któremi zwykle kieszenie nasze są wypełnione, jak np. zegarków, chustek do nosa itd. Co innego jednak jeżeli miasto otoczone jest wałami, murami, lub w jakikolwiek inny sposób ograniczone, miejscowość taka uważa się za zamkniętą i zakaz noszenia jakichkolwiek cię-

żarów tam ustaje. Otóż właśnie owe telegrafy żydowskie służyć mają do podobnego zamykania miast i do pogodzenia wymagań życiowych z obustronnemi regułami religijnemi. Wyobraźmy sobie teraz, że złośliwa ręka pozrywa owe ejrefy w nocy z piątku na sobotę, a pojmiemy łatwo, jaka rozpacz ogarnąć musi żydów małomiasteczkowych. Bez laski od biedy obejść się jeszcze można, z chustką do nosa można sobie jeszcze poradzić, bo można się nią nakształt pasa obwiązać, ale pozostaje najważniejsza kwestya strawy całodziennej. Żydzi w sobotę — wystrzegają się niecenia ognia, nie gotują w domu, ale potrawy przyrządzone dnia poprzedniego, pozostawiają u piekarza, zkąd je w sobotę odnoszą do domu. Ale gdy ejref jest zerwany, nie ma możności przeniesienia z piekarni owych przysmaków, a dzień przeznaczony na wypoczynek i pociechę staje się udręczeniem. Dla tego to żydzi taką wartość przywiązują do ejrefów i walecznie stają w obronie tych fortyfikacyi, chociaż nie są one oznakami panowania żydowskiego, jak to niektórym profanom wydawać się może. Rozumiemy dobrze, że w takich warunkach telegraf żydowski oddaje usługi ważne wyznawcom Mojżesza, ale sądzimy, że w wieku telegrafów jest on już bardzo przestarzałym. A przypomnijmy sobie do tego widok naszych miasteczek, gdzie rynek jest zbiorowiskiem śmieci, gdzie domy malowane są różnemi barwami tęczy, a po ulicach swobodnie przechadzają się zwierzęta nienawistne wyznawcom Mojżesza, albo i ptastwo, które tylko w Rzymie miało uzasadniony powód do używania podobnej swobody, owe miasteczka, do oczyszczenia których przyczyniają się jedynie peryodycznie powtarzające się pożary. A teraz wyobraźmy sobie całe miasteczko otoczone zagadkowym drutem na koślawych słupach, a musimy przyznać, że cały ten obraz usprawiedliwia nazwę pół-Azyi, jaką nas obrzucają mili sąsiedzi. Gdy zaś współmieszkańcy innych wyznań nie chcą znosić tych ozdób swego miasteczka, czem staje się już rzecz komiczna a bolesna, to łatwo prowadzić może do zaburzeń i bijatyk, z których znowu sąsiedzi nasi korzystać zręcznie umieją. Dla tego też sądzimy, że zniesienie ejrefów byłoby dla wszystkich istotnie pożądanem, jak zresztą cechą prawdziwej tolerancyi jest zamykanie wszelkich obrzędów religijnych w obrębie własnych świątyń. I znowu dochodzimy tu do jedynego rozwiązania całej tej kwestyi, do potrzeby oświaty, oświaty, któraby zniosła ową formułkowość średniowieczną, z której massa żydów w kraju naszym dotąd wybrnąć nie zdołała, a której ejrefy są jednym z widocznych dowodów.

⁂ Komitet międzynarodowego kongresu Pokoju upoważnił „Towarzystwo francuskie przyjaciół pokoju“ do otwarcia w Paryżu w pałacu Trocadero 19. 20. i 21 Września r. b. kongresu międzynarodowego, na którym będą rozbierane kwestye dotyczące praktycznych sposobów utrwalenia pokoju i zapewnienia w stosunkach międzynarodowych przewagi zasadzie sądu polubownego nad starciem zbrojnem. Stowarzyszenia pokojowe zagraniczne wyznaczyły już przedstawicieli z grona najznakomitszych członków Parlamentów.

⁂ Najśmielszym dziś nurkiem jest bezwątpienia kapitan John Guire w Cincinati. Dzienniki amerykańskie opowiadają, iż gotów on jest założyć się, że w przeciągu 25 dni przebędzie przestrzeń z Cincinati do Kairo (w Ameryce) idąc dnem rzeki Ohio.

Przestrzeń ta wynosi około 500 mil morskich, czyli, że chcąc wygrać zakład, musi zrobić dziennie blisko 20 mil drogi podwodnej.

Za tym oryginalnym nurkiem ma płynąć statek, na którym będzie umieszczona pompa powietrzna, dostarczająca nurkowi potrzebną ilość powietrza do oddychania. Kapitan zastrzega sobie prawo wyjścia na powierzchnię tyle razy, ile tego zażąda, ale wtedy i statek się zatrzyma aż do chwili wejścia nurka pod wodę, ażeby kapitan był zmuszony przebyć całą przestrzeń pieszo, pod wodą.

⁂ W poniedziałek została zamkniętą wystawa psów na placu Inwalidów w Paryżu. Psy damskie były sprzedawane po cenach szalonych. Szkockie (griffons) płacono po 3.000 fr. Za małego pieska bonońskiego dano 1.500 fr. W ogóle sprzedano psów za 150.000 franków.

⁂ Na placu wystawy paryzkiej zbudowano wielki balon, który obecnie jest już nadęty. Kierunek nad mającą nastąpić wyprawą, objął M. Giffard. Rozmiary tego balonu są tak olbrzymie, iż gdy łódka dotyka ziemi, to wierzchołek balonu przenosi o 12 metrów wysokość bramy tryumfalnej.

⁂ W sprawie procesu małżeńskiego Adeliny Patti. Od czasu zawarcia małżeństwa p. Patti zarobiła 3,500.000 franków. Sumą tą zarządzał mąż, markiz de Caux i tak nią administrował, że zmalała do 1,600.000. Jeżeli p. Patti wygra proces, to pieniądze te powrócą do niej, jeżeli go przegra, musi na mocy kontraktu ślubnego oddać połowę markizowi de Caux.

⁂ Pies morski na Wiśle!

Rzadki ten a potworny gość ukazał się w tych dniach w okolicy Tczewa.

Rybacy zrobili nań obławę, szczęśliwym końcem uwieńczoną.

⁂ W Rydze, jak pisze jeden z petersburskich dzienników, utworzyło się towarzystwo, w celu założenia instytutu dla ociemniałych i krótkowidzów. Obecnie rozporządza ono kapitałem, wynoszącym około 6 tysięcy rubli.

⁂ Pewien właściciel ziemski w Królestwie Polskiem, widząc nierogaciznę w szkodzie, chwycił za strzelbę, strzelił i ugodził śmiertelnie zwierzę, naruszające własność. Pozwany skazanym został na karę 25 rubli. Po odczytaniu wyroku zaprotestował, mówiąc: „Jakto?“ Wiera Zasuliczówna strzeliła i raniła generała Trepowa i została uniewinioną, a ja miałbym być karany za świnię?!“

⁂ Za obrazę cesarza niemieckiego skazano w Niemczech w miesiącu czerwcu, według kroniki sądowej *Niederrheinische Volksztg.*, która nie jest jeszcze zupełnie dokładną, 261 osób na 481 i pół roku więzienia. Miesiąc lipiec nie mniej pewnie będzie obfitym w potępiające wyroki, gdyż ciągle słuchać o nowych aresztowaniach.

⁂ Najbogatszy człowiek na świecie bawi obecnie w Paryżu. Jest to kalifornijczyk Mac Kay, właściciel min srebrnych w Colorado, którego dochód roczny obliczają dzienniki francuskie na 60 milionów franków, a dzienny dochód na przeszło 150.000. Żaden z Rotschildów nie doprowadził tak daleko, a choćby p. Mac Kay nawet o połowę mniejszy posiadał majątek, jeszcze pozostawia za sobą w tyle bogaczy europejskich. Krezus ten w ciągu kilku lat dorobił się tej olbrzymiej fortuny; nie starzy wcale ludzie pamiętają go, kiedy był oberżystą w San Francisco.

⁂ Autentyczna humoreska:

Pewien pastor kościoła metodysto-episkopalnego w Sandlake, w Stanach Zjednoczonych, zamiast kazania, zwrócił się do swych wiernych z następującą przemową:

„Opieka kościelna nie zapłaciła mi pensyi, nie zwróciła uwagi na moje żądania, nie poparła składki na moję korzyść, jednem słowem, nie zrobiła nic, celem wypełnienia swych względem mnie obowiązków. Jestem w długach po uszy i nie mam najmniejszej chęci głosić wam słowa bożego darmo. Dla tego oświadczam, iż miejsce moje wakuje i błagam Boga, aby wam zesłał kaznodzieję, karmiącego się powietrzem i własną ręką przygotowującego sobie spodnie ze skóry jelenia.

⁂ Kongres a pies. W restauracyach berlińskich produkuje się od niejakiegoś czasu Niemiec z pudlem, wyuczonym następujących sztuczek: Ubrany w jaskrawy spencerek pudel kłania się gościom bardzo przyzwoicie. Na zapytanie: „Co mówi Bismark na kongres?“ — Odpowiada pies groźnem otrząśnięciem się. „Co mówi Moskwa?“ — pies odpowiada: głośnem długiem szczekaniem. Na zapytanie: „Co robi Austrya?“ — Kładzie się pies na ziemi, wsuwa łeb między wyciągnięte przednie łapy i mruga oczyma. „Co mówi Francya?“ pyta Niemiec — a pies grzecznie się kłania. „Co mówi Turek?“ — pies wyje w przerażający sposób.

Uspokojonego wreszcie zapytuje pan: „A co mówi Rumunia, Czarnogóra, Serbia i Grecya?“ — Pojętny pies spuszcza ogon między nogi, puszcza się ku drzwiom i skomląc miłosiernie drapie w drzwi na znak, że mu w towarzystwie tem bardzo ciasno. Widocznie właściciel pudla bardzo grzeczny, że już więcej pytań nie stawia.

LIST MIŁOSNY.

Pani von Bronting siedziała w swym buduarze z książką w ręku... nudziła się. Zaznaczając to, nie mam bynajmniej zamiaru obrażać autora książki — nie mogę jednak zmienić samego faktu, że się pani von Bronting nudziła. Było to jej zwyczajne zatrudnienie w godzinach, gdy mąż pracował w ministeryum. Z chwilą jego powrotu wstępowało w nią inne życie, odzyskiwała humor. Nie powiadała nikomu, że żyje z mężem szczęśliwie, można więc przysiądz, jeżeli doświadczenie cokolwiek tu znaczy, że było tak w istocie. Z gnuśnego rozmarzenia zbudziły ją kroki służącego, który jej wręczył bilet.

„Baron Brick“ — przeczytała pani von Bronting. — „Prosić.“

Zaledwie oddalił się służący, wyraz niezadowolenia zasępił jej oblicze.

— Znowu ten natręt! Gdyby nie był przyjacielem od serca Artura, kazałabym go już sto razy odprawić.

Nie uważam się za fizyonomistę, sądzę jednak, że sam Lavater nie dopatrzyłby w twarzy ani we wzięciu się wchodzącego bar. Bricka znamion donżuańskiego natręctwa. Baron robił raczej wrażenie człowieka nieśmiałego i strapionego. Nawet jego jasny wąsik nie odważył się dotąd porzucić fazy kiełkowania... Uśmiech zakłopotania przemykający się po ustach barona, płowy kolor jego włosów, chód trwożny i niepewny, wszystko to składało się w nim na obraz skromnego i przyzwoitego młodzieńca. Nie jestem, jak rzekłem, fizyonomistą, ale z baronem Brick grałbym nawet pociemku w „parzyste i nieparzyste.“

Pani von Bronting zdawała się myśleć inaczej.

— Jakiejże to okoliczności mam zawdzięczać zaszczyt, że pana widzę u siebie? — zapytała z niechęcią. — A może pan pragnął się widzieć tylko z Arturem? Artura nie ma w domu.

— Dla tego właśnie w tej porze przychodzę — odparł baron z naiwną otwartością.

— Pan się bawi w zagadki.

— Gotów jestem natychmiast je wyjaśnić — rzekł Brick przysuwając sobie fotel, przyczem jedną nogą zaplątał się w dywanie.

— Mówię otwarcie, dawno się już noszę z zamiarem pomówienia sam na sam z szanowną panią.

— Uważałam to.

— Czy tak? — spytał Brick z przestrachem.

— Poruszenia i giesta pańskie były aż nadto wymowne; może pan być pewny.

— Mam bowiem uczynić pani wyznanie, wyznanie od którego szczęście mojego życia zawisło.

Pani von Bronting poruszła się niecierpliwie na krześle.

— Wyznanie? — zapytała.

— Nie inaczej.

Niechże się dowiem zkąd mnie spotyka ten honor?

— Ztąd, że w ręku pani spoczywa moje zbawienie, szczęście mojego życia, spokój duszy!

Zniecierpliwienie pani von Bronting rosło z każdą chwilą.

— Spokój pańskiej duszy? Ależ to zakrawa, jak gdyby się pan pragnął spowiadać przedemną.

— Jeżeli to pani zechce tak nazwać.

— Spowiadamy się jednak tylko z grzechów.

— Lękam się właśnie, aby mi pani mojej śmiałości za grzech nie poczytała — westchnął baron.

— Ale o cóż przecie chodzi? Co mi pan wyznać pragnie? — Pytania te mówiła pani von Bronting bardzo stanowczym tonem.

Pan baron odetchnął głęboko, poprawił dwa razy kołnierzyka i w końcu zaledwo dosłyszalnie wyszeptał:

— Co pragnę wyznać? Pani się pyta? Ach! jakże się pani pytać może! Cóż innego jeżeli nie...

— Cóż więc?

— Jeżeli nie miłość moją!

Pani von Bronting powstała zarumieniona gniewem. W oczach jej błyskała burza.

— Pan mnie znieważa!

— Znieważa!

— Znieważam? — powtórzył Brick rozpaczliwie. — A przecie tu chodzi o moje najdroższe uczucie; jedno słowo z ust pani wystarczy, abym został najszczęśliwszym lub najnieszczęśliwszym z ludzi.

— W takim razie wybieram to ostatnie. Panie baronie, przykro mi bardzo — ale nie będę mogła słuchać dłużej pańskich serdecznych wynurzeń... Jak pan myśli, czy się ustali pogoda? Słyszał pan już nową śpiewaczkę? Co słychać nowego?

Pan von Brick siedział zrozpaczony i przybity.

Wkrótce potem pożegnał się i w czarnych myślach pobiegł do domu.

— Nie pozostaje mi nic innego jak napisać do niej — taki był rezultat jego długich rozmyślań.

Pani von Bronting tymczasem oddała się pessymistycznym dumaniom nad przewrotnością mężczyzn. Miała opowiedzieć mężowi natarczywe zabiegi barona? Nie. To nadtoby zasmuciło Artura, szczerze oddanego Brickowi. Cóż jej pozostało innego jak milczeć?

— Ktoby się był czegoś podobnego po baronie spodziewał? — filozofowała pani von Bronting. — Ale prawdziwe to przysłowie o cichej wodzie...

Gdy Artur zaproponował tegoż wieczora, aby jadąc na spacer wstąpić po barona, usłyszał od żony wyrazy bardzo przykrej odmowy.

— Ale co ty cierpisz do tego Bricka? — zapytał zdziwiony. — Widzę, że go nieznosisz.

— Uważam go za fałszywego człowieka.

— Bricka? Ależ najdroższa, toć to najpoczciwsze chłopczysko pod słońcem!

— Doprawdy? — zapytała z ironią pani von Bronting.

— Miałażbyś o tem wątpić; I czemuż to?

— Mam widać jakąś antypatyę do niego.

— Więc właściwie żadnych powodów — rzekł śmiejąc się Artur.

Pani von Bronting milczała.

Nazajutrz służący przyniósł jej list. Gdy ujrzała podpis: baron Brick, chciała go zaraz nie czytając podrzeć.

Lecz nie — pomyślała po chwili. — Może się tu chce usprawiedliwić ze swego zapomnienia...

Czytała.

„Najłaskawsza Pani!

Gdy widoczny gniew pani nie dozwolił mi skończyć mojego wyznania, nie pozostaje mi nic innego, jak je powtórzyć piśmiennie. Spokojnie i równo upływało mi życie do chwili, gdy pierwszy raz wszedłem do domu Pani. Od owego wieczora gorąca namiętność płonie w mej duszy. Pani! „tak“ albo „nie“ rozstrzyga o moim losie. Czy się powiedzie szczerej, gotowej do wszelkich ofiar, opartej na najwyższym szacunku miłości, pozyskać łaskawość pani?....“

Dotąd doczytała pani von Bronting. Z miną rozgniewaną i pogardliwą razem, rzuciła na stół pisanie. Potem włożyła je w kopertę i zaadresowała do barona Bricka, nie dodawszy ani sylaby od siebie.

— I to ma być najpoczciwsze chłopczysko pod słońcem! — zawołała szyderczo. — Że też Artur tak niedaleko widzi.

Krew się w niej mocno wzburzyła, postanowiła w przejażdżce szukać uspokojenia i udała się do serdecznej przyjaciółki, pani hrabiny Bolm. Tej mądrej, światłej pani opowiedziała całe zdarzenie.

— List już odesłałaś baronowi? — spytała hrabina.

— Naturalnie.

— Dobrze — więc odtąd nie będzie mógł bywać w waszym domu.

— Rozumie się.

— Cóż na to powie Artur? Z kimże będzie grywał w ekartę?

— Postaram się sama tej gry wyuczyć.

— Znudzisz się prędko, bo będziesz ciągle wygrywać. Artur jest nadto galantem, aby ci kiedy przegrać pozwolił. Będzie mu brak barona.

— W takim razie powiem mu wszystko.

— Na Boga, tego nie rób.

— Dlaczego.

— Żona nie powinna nigdy dać poznać mężowi. że może odbierać listy miłosne. Od tej chwili bowiem, budzą się w nim wszystkie chytre, zazdrosne geniuszki. Pierwszy list podarła, pomyśli sobie, na drugim się zastanowi, na trzeci odpowie, na czwarty..

— O jakże mało znasz Artura! Podejrzliwość jest daleko od jego dobrej, ufającej duszy, jak niebo od ziemi!

— Tembardziej nie powinnaś mu opowiadać zajścia z baronem, dostarczać dowodów, że go kiedykolwiek ta ufność zawiodła. Taka rzecz łatwo rozdrażnia...

— Więc cóż mam zrobić?

— Ach Boże, toć za parę dni przybywa do was twoja siostra, hrabianka Leonia, a przy tym wdzięcznym trzpiocie zapomnisz sto razy o wszystkiem.

— Niestety jednak, rozumna hrabina Bolm myliła się tym razem, Leonia bowiem, wieczorem zaraz po przyjeździe zagadnęła siostrę:

— Czy to już baron Brick wcale u was nie bywa?

— Od pewnego czasu nie przychodzi — odrzekła krótko pani von Bronting.

— I dlaczego?

— Moja żona jakoś go znosić nie może — objaśnił Artur. — Nie przytoczyła nawet żadnego powodu. Ale ktoby tam walczył z uprzedzeniami kobiet? Tak, tak Leonio, i ty będziesz kiedyś taka despotyczna, gdy tylko dostaniesz męża uległego jak ja.

Pani von Bronting ucałowała męża, który się śmiał wesoło. Tylko Leonia coś spochmurniała.

— Więc póki u was jestem, nie zobaczę już barona? — zapytała.

— Prawdopodobnie nie.

— To jednak szkoda.

— Co ty powiadasz? — spytała szybko pani von Bronting, uderzona słowami siostry.

Leonia nic nie odpowiedziała, tylko zarumieniła się. O, wiele to dawało do myślenia. Panią von Bronting coś tknęło. Po chwili nie myślała już o tem.

Wkrótce jednak zmuszona była pomyśleć. Artur wszedł kiedyś do jej pokoju w usposobieniu poważniejszem niż zwykle.

— Drogie dziecię — począł — przyzwyczajony czynić zadość wszystkim twoim zachceniom, ponieważ miłość twoją nad wszystko stawiam, nie chciałem występować zbytecznie przeciw twojej antypatyi do barona. Ach, mają słuszność przyjaciele nasi, robiąc zmartwioną minę na wieść, że się który z nas żeni; przeczuwają oni, że mają zejść na plan drugi z tą chwilą. Kobiety w małżeństwie są jak Jehowa: nie chcą mieć innych bogów przed sobą.. Obecnie jednak nadszedł czas, w którym antypatyę twoją dla Bricka albo usprawiedliwić, albo też porzucić musisz. Ostatnie słowo wymówił Artur z naciskiem.

— Czy rzeczywiście muszę? — zapytała pani von Bronting kwaśno.

— Koniecznie, moja droga, a to dla tej prostej przyczyny, że pan baron Brick prosił mnie dziś pisemnie o rękę Leonii.

Pani von Bronting porwała się z krzesła jak strzała. „Od jednej do drugiej! No, przynajmniej trzyma się familii!“ — pomyślała ironicznie.

— A Leonia? — zapytała niechętnie.

— O ile ze zręcznego wybadania jej wnosić mogę, nie jest ona niby od tego.

— Z tego nic nigdy być nie może! — oświadczyła pani von Bronting bardzo stanowczo.

— Ależ dlaczego nic? Pan von Brick zajmuje w towarzystwie bardzo przyzwoite stanowisko.

— Być może.

— Nie jest to wprawdzie geniusz, ale na wskroś poczciwy i tęgi człowiek.

— Hahaha! — roześmiała się pani von Bronting.

— No cóż to moja droga?

— Baron Brick nie otrzyma nigdy ręki Leonii, gdyż... gdyż... no — trzeba to raz wyjaśnić: gdyż... jest to don żuan!

Tym razem Artur się roześmiał.

— Brick donżuanem! — Brick najskromniejszy ze wszystkich baronów... przysłowiowy rycerz cnoty. Wybacz, ale to doprawdy nadto śmieszne.

— Być może, lecz ja posiadam dowody.

— Dowody?

— List, który otrzymałam od niego.

— I który mu odesłałaś.

— Ty wiesz o tem?

— Wiem. Posiadam nawet ten list, gdyż Brick sam mi go dostarczył, łącznie z pismem w którem prosi o rękę Leonii.

— I zapewne coś przytem napomknął o żalu, ciężkiej pokucie, młodzieńczej lekkomyślności... co?

— Bynajmniej.

— Więc jaki tam inny frazes.

— Frazes? Żadnego. Uskarża się tylko, żeś mu nie dała wcale odpowiedzi.

— Niesłychane!

— Tak, ale czemu nie odpowiedziałaś mu.

— Na tego rodzaju listy odpowiada się wówczas tylko — jeżeli się chce „tak“ odpowiedzieć.

— To też właśnie należało odpowiedzieć.

— Kochany Arturze — odparła pani von Bronting nie bez pewnego gniewu. — Jeżeli to ma być żart, to doprawdy wcale go nie pojmuję. Chyba że baron, co niezawodne, nie ten sam list ci nadesłał.

— Oto masz corpus delicti. Tu pokazał jej list.

Pani v. Bronting rzuciła nań przelotne spojrzenie, poczem rzekła:

— Ten sam... więc miałam odpowiedzieć na list, rozpoczynający się od takiego zdania: Najłaskawsza Pani! Gdy widoczny gniew pani nie pozwolił mi wczoraj skończyć mojego wyznania, nie pozostaje mi nic innego jak je powtórzyć pisemnie... Na to miałam odpowiedzieć?

— Znajduję tę uwagę barona bardzo logiczną. Czemu nie pozwoliłaś mu się wygadać? Wówczas nie potrzebowałby pisać.

— Miałam odpowiadać na list — ciągnęła dalej pani von Bonting, w którym są takie słowa:

„Spokojnie i równo upływało mi życie do chwili, gdy pierwszy raz wszedłem do domu Pani. Od owego wieczora gorąca namiętność płonie w mej duszy. Pani „tak“ albo „nie“ rozstrzygnie o moim losie. Czy powiedzie się szczerej, gotowej do wszelkich ofiar, opartej na prawdziwym szacunku miłości, pozyskać łaskawość Pani?... Sądzę, że to może wystarczyć. Zaraz za pierwszym razem nie czytałam już dalej. Bo i po co?

— Zaraz mi to na myśl wpadło — rzekł Artur z radosnem ożywieniem. — Proszę cię, chciej mi zrobić tę łaskę i odczytaj jeszcze jeden jedyny wiersz.

— Niechże tak będzie.

I pani v. Bronting czytała:

„Kocham bowiem uroczą siostrę pani, którą miałem szczęście poznać owego wieczora i od pani tylko zależy...“

I znowu p. v. Bronting urwała czytanie. Było to widać przeznaczenie tego listu, aby nie był nigdy doczytany do końca. Tym jednak razem p. v. Bronting była usprawiedliwiona — nie mogła bowiem dalej czytać od śmiechu.

— A więc moją uroczą siostrę, nie mnie! O, ja nierozsądna! Ale bo po cóż te nieszczęsne dwuznaczne wstępy!

— To leży właśnie w nieśmiałości Bricka. Musi on sobie wprzód „dopisać“ odwagi, zanim przystąpi do rzeczy!... I ty rzeczywiście sądziłaś...?

— Nie kończ już, proszę cię. Trudno; przeproszę barona...

Brick został wspaniale wynagrodzony. Leonia jest już od tygodnia jego żoną. Odtąd, ilekroć pani v. Bronting zacznie się nudzić po obiedzie, przypomina sobie zaraz nieodczytany do końca list miłosny i zwykle podówczas buduar jej rozbrzmiewa przeciągłym srebrzystym śmiechem.

Oskar Blumenthal.

Od Redakcyi.

Wiersze p. n. *Resurecturis*, *Pożegnanie*, *W Maju*, nie mogą być drukowane w „Tygodniu.“

Treść Nr. 48.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.